19 - 21 Kongres Historyków Polskich we Wrocławiu

Stron 12 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 20 zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 19–26 września 1948 r. Nr 38–39 (167–168)

W NUMERZE

między innymi:

Stanisław Śreniowski

HISTORIA USTROJU POLSKI

Referat na Zjeździe Historyków w Sekcji: Polska nauka historyczna po II wojnie światowej

TEZY DYSKUSYJNE

1.

Historia ustroju Polski zyskała już w naszej nauce pozycję dyscypliny samoistnej odgradzającej się zarówno od historii politycznej jak i historii prawa, z której zresztą wyszła. Powstała jako odpowiednik niemieckiej die Verfassungsgeschichte, w przeciwieństwie do szerszego jakoby pojęcia die Rechtsgeschichte, przy czym przez „ustrój" rozumiano ustrój państwowy wzgl. ustrój państwa, przypisując temu mianu treść analogiczną do angielskiego terminu the constitution wzgl. francuskiego les institutions publiques.

Przedmiotem historii ustroju nie miało być jednak dawne prawo konstytucyjne czy publiczne wzgl. klasa zjawisk odpowiadająca tym terminom. Ściśle biorąc, w historiografii naszej o teorii historii ustrojów czy historii ustroju — w ogóle, nie było mowy, próbowano natomiast skonstruować teorię historii ustroju Polski. Siemieński chciał wprawdzie identyfikować historię ustroju z historią prawa politycznego, ale za konstrukcję panującą, od której nie był wolny i Siemieński) trzeba uważać tę, która otrzymała klasyczne sformułowanie u Balzera: „ustrój" — jako przedmiot historii ustroju Polski, oznaczał ustrój państwowy (tj. organizację prawno - polityczną) oraz ustrój społeczny (głównie społeczno-prawny) i ich wzajemny związek [1]) *).

Historia ustroju Polski zamykała się przy tej konstrukcji w ramach chronologicznych przedrozbiorowego Państwa Polskiego, założeniem tego — może nie najwyraźniej wypowiedzianym — była narodowa suwerenność polityczna, historia ustroju Polski to historia ustroju — politycznego i społecznego—Polski jako suwerennego państwa Narodu polskiego. Ta cecha przypisana została czasom przerozbiorowym Księstwo Warszawskie, Królestwo Polskie (i Rzeczpospolita Krakowska) podzieliły w tym ujęciu los ziem dawnego państwa polskiego pod zaborami, tzw. porozbiorówka została przeciwstawiona w całości dziejom państwa i ustroju polskiego, w historii politycznej mówiło się o stukilkodziesięcioletnim okresie niewoli [2]).

Polska Odrodzona, lata po 1918 nie wchodziły do historii ustroju na razie jako czasy współczesne jeszcze. Obecnie, kiedy okres 1918—1939 ma już wyraźne miejsce w historii, sprawa metody historii ustroju Polski, jej założeń oraz charakteru syntezy w tym przedmiocie nastręcza szereg zasadniczych kwestii:

1) Jakie zastosowanie miałaby dla Polski po 1918 r. konstrukcja ustrój Polski—ustrój polityczny — ustrój społeczny. W odniesieniu do Polski przedrozbiorowej brano pod uwagę w powyższym rozróżnieniu stanową organizację społeczeństwa, a zatem prawne jego zróżnicowanie oraz prawną odrębność poszczególnych grup społecznych w stosunku do politycznej organizacji państwowej.

2. Jak powiązać sprawy ustroju Polski po 1918 r. z przeszłością: o ile co do ustroju politycznego można by się posługiwać konstrukcją okresów bytu państwowego czy suwerenności jako okresów nieciągłych, to dzieje ustroju społecznego w żadnym razie nie dopuszczają przerw. Stoimy zatem wobec konieczności albo zrezygnowania z pojęcia ustroju społeczno-politycznego albo ogarnięcia historią ustroju Polski także i owych przerw — politycznych [3]).

3. Ustrój polityczny ziem polskich w okresie porozbiorowym przeciwstawiano Polsce przedrozbiorowej zwracając uwagę na rozbicie dotychczasowego organizmu politycznego (Państwa Polskieg) a włączenie poszczególnych części dawnego państwa do składu innych państw, na podległość ziem polskich dyspozycji państw obcych oraz na niepolski charakter form ustrojowych. Znamiona te odnosiły się do całej porozbiorówki, ani księstwo Warszawskie, ani Królewstwo Polskie nie przeczyły tym zasadom.

Polska po 1918 r. — państwo niewątpliwie suwerenne i nardowe już — nie przedstawiała terytorialnie odpowiednika państwa przedrozbiorowego, nie była wolna od silnych wpływów politycznych wychodzących z innych państw, jej ustrój wreszcie trudnoby uważać za oryginalny z formy, narodowy, polski, skoro nie wiele odbiegał od wzorów współczesnych państw innych i do nich w zasadzie nawiązywał [4]).

2.

Balzer wprowadził do historii ustroju Polski formułę dwóch czynników ustroju, czynnika państwowego i czynnika społecznego, za istotę ustroju uważał wzajemny ich stosunek, sprowadzając wszystkie konkretne możliwości ustrojowe do trzech teoretycznych typów: równowagi pomiędzy obu czynnikami ustroju, przewagi czynnika państwowego nad społecznym, przewagi odwrotnej. W konstrukcji tej odbija się wiele wpływów — naukowych i politycznych.

Reguła czynników, ich wzajemnego przeciwieństwa oraz możliwego układu harmonijnego, prowadzi od dialektyki heglowskiej. Jest to dialektyka dziejów, wyraz historyzmu przełożonego na język zupełnej abstrakcji. W zamkniętym kręgu trzech typowych odmian przewidzianych przez tę dialektykę — idealistyczną — życie nabiera cech ahistoryczności.

Reguła przeciwstawnych czynników, społecznego i państwowego (odpowiednik ustroju: społecznego i państwowego) ma wyraźny rodowód polityczny: państwo a społeczeństwo to kanon liberalizmu. Konstytucjonalizm — to walka o gwarancje dla społeczeństwa, sprawa polityczna ujmowana jest w konflikt dwóch partnerów: państwo ma znamiona czegoś poza i przeciwspołecznego, społeczeństwo — pozory czegoś jednorodnego, solidarnego, jest przeciwpaństwowe jakoby w całości.

W sytuacji polskiej reguła ta miała jednak przede wszystkim inne znaczenie: przeciwstawiała naród polski rządom zaborczym, postępowość tej reguły polegała głównie na jej związku z ideą niepodległości narodowej.

W teorii dwóch czynników ustroju zawiera się implicite idea solidaryzmu społecznego. Na Zachodzie była to idea mieszczaństwa, po zwycięstwie nad arystokracją rodową, a zaniepokojonego z lewa, mentującego ideologiczny mechanizm, mający za zadanie rozbroić wrogie klasy społeczne. W Polsce idea solidaryzmu społecznego odgrywała inną rolę, nie była jeszcze ideą mieszczańską, a oznaczała przede wszystkim ideę narodową jedności narodowej, jako instrumentu politycznego przeciwko zaborcom.

W konstrukcji Balzera zawierała się ponadto idea solidaryzmu społeczno-państwowego, jeden z trzech typów wzajemnego stosunku państwa i społeczeństwa zyskał określenie moralnie afirmatywne: **równowagi.** Okres równowagi obu czynników państwa i społeczeństwa, przypadał według Balzera w historii Polski na czas od XIII w. do początków XVI w., będąc zarazem okresem równowagi społecznej, nazwał go Balzar okresem samorządów stanowych. Miano równowagi otrzymał przez porównanie z następnym okresem: przewagi szlacheckiej i z poprzednim — przewagi panującego. O rzeczywistej równowadze społecznej w tym czasie trudno oczywiście mówić, stanem samorządnym był dopiero jeden, jego przodujące miejsce miała wyprzeć w następnym okresie szlachta [5]).

Idea korporacjonizmu i hierarchicznego powiązania to idea społeczna kościoła. Równowaga, o której mowa w tym teoremacie nie jest synonimem nowożytnej idei równości społecznej. Toteż ta kwalifikacja średniowieczna nie utrzymała się w naszej historiografii, mimo pozytywnej oceny systemu średniowiecznego stanowego u wielu historyków ustroju. Kutrzeba uważał za ustrój stanowy czas rządów jagiellońskich, przesuwając w ten sposób okres równowagi społecznej z XIII — XV w. na XV — XVI w. Siemieński wreszcie awansował moralnie ustrój demokracji szlacheckiej [6]).

Linia konstrukcyjna historii ustroju polskiego, najwyraziściej nakreślona przez Balzera, linia złożona z trzech ogniw: okresu władzy książęcej, okresu pośredniego i okresu rzeczypospolitej szlacheckiej — jakkolwiek w kwalifikacjach moralno - politycznych wyrażała ona postawę krytyczną wobec tego ostatniego typu ustrojowego — to jednak przedstawiała ona w istocie drogę wspaniałego awansu stanu szlacheckiego, narodu szlacheckiego i przerywała, czyli zamykała opowieść dziejową na tym etapie bujnego rozkwitu tego właśnie stanu. Mimo kwalifikacji autorskich, premiujących środkowe ogniwo przedrozbiorowej drogi Polski: późniejsze średniowiecze, obraz historii ustroju zamknięty w ramach przedrozbiorowych narzucał kwalifikacje odmienne, okres końcowy, nowożytny, najbliższy nam, tragicznie uwypuklony rozbiorami, wysuwał tę rzeczpospolitą — szlachecką na symbol państwa polskiego i Polski w ogóle. I dla czytelnika pod zaborami i po 1918 r.

Tradycje narodowe, tradycje historyczne polski były tylko szlacheckie i katolickie i trudno było oprzeć aspiracje narodowo-państwowe o inną formację historyczną, jak katolicko-szlachecką.

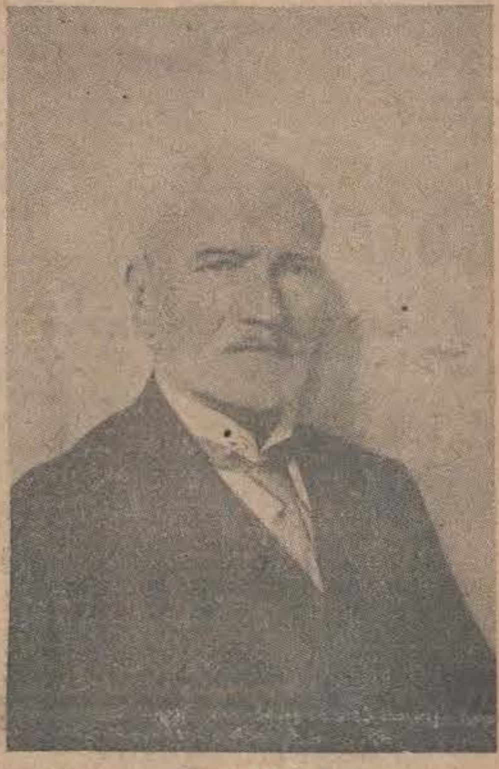
Konstrukcje ustrojowe u Balzera i wielu innych miały wyraźne znamiona teorii organicznych społeczeństwo jako organizm, społeczeństwo i państwo, jako organizm o wyznaczonych, naturalnych funkcjach każdego z jego części — mimo liberalistycznych antynomii, o których mowa poprzednio. Już w samej nazwie „ustrój", odbija się teoria organiczna. Jeżeli teorię tę uważać w ogóle za wyraz optymizmu społeczno-politycznego, to w warunkach polskich służyła ona nadziejom patriotycznym i wyobrażeniom o naturalnym, zdrowym i harmonijnym funkcjonowaniu państwa jako politycznej organizacji narodu.

W historii ustroju Polski sprawy ustroju społecznego zajmowały dość dużo miejsca, przy czym nierzadko wychodzono poza zagadnienia czysto prawne dotyczące tego ustroju. Oprócz pewnego wpływu na to postawy liberalistycznej, uwydatniającej rolę społeczeństwa przeciwko państwu, miała tu przede wszystkim znaczenie sytuacja narodowa polska pod zaborami. Dla narodu bez państwa potrzebne było zaakcentowanie spraw społecznych — w znaczeniu spraw **społeczeństwa**, solidarnego, narodowego, stanowiącego organiczną całość przeciwko aparatowi państw zaborczych.

3

Pojęcie „ustroju" ulega zmianom — politycznym oraz naukowym. Ściślej, zmienia się sposób widzenia i rozumienia mechanizmu życia społecznego i politycznego, zostają ujawnione nowe głębsze bardziej istotne czynniki działania zespołowego. Uwaga skoncentrowana na osobie monarchy i dworze monarszym odpowiada warunkom politycznym dawniejszego ustroju autokratycznego oraz prymitywnej a przy tym z reguły dworskiej historiografii. Panujący i jego wola, a wokół tego ceremoniał dworski — oto główny element kompozycyjny obrazu historycznego, a zarazem te czynniki, których wprowadzenie do obrazu zdawało się dostatecznie wyjaśniać — do pewnego czasu — istotę mechanizmu politycznego. Antymonarchiczna szkoła polityczna, liberalno-konstytucyjna, zastępując formułę panowania z Bożej łaski formułą suwerenności narodowej, wprowadzała konstrukcję formalno-prawnej władzy państwowej i aparatu państwowego. Mechanizm życia społeczno-politycznego znajdował wytłumaczenie w systemie prawnym, w zestroju norm prawnych, funkcjonowanie organów publicznych stawało się istotą ustroju, dla zrozumienia ustroju trzeba było poznać konstytucyjne przede wszystkim odrębności tego ustroju.

Liberalistyczny obraz ustroju przesłaniał etykietką formalnej równości ekonomiczną społeczną, kulturalną i polityczną klasowość struktury państwa; socjalizm i jego teoria naukowa pod hasłem sprawiedliwszego urządzenia świata zburzyły ten obraz ujawniając głębszy, podskórny mechanizm polityczny, antagonizmy klasowe. W tej interpretacji społeczno-politycznej sprawa ustroju



Oswald Balzer

gruntownie się zmienia. To co dotychczas rozumiało się przez ustrój okazuje się jednym tylko z jego składników: to aparat władzy politycznej, to formalno-prawna organizacja państwa. Przełożenie formuł jurydyczno-konstytucyjnych na język nauk społecznych, w naszym wypadku nauk historycznych, wymaga ujawnienia roli społecznej tych formuł, ukazania zatem poza nimi struktury społecznej. Jeżeli państwo miało u monarchistów cechy przyrodzonego tworu z monarchą jako centralnym elementem struktury, u konstytucjonalistów — cechy formacji umownej — prawniczej, to socjaliści widzą w nim aparat władzy klas panujących [7]).

W odniesieniu do ustroju specjalną rolę odgrywa prawo i fakty prawne. Prawo jest jak gdyby zwierciadłem ustroju, urządzenia polityczne, gospodarcze, społeczne, kulturalne, znajdują swój wyraz w systemie prawnym, często identyfikuje się nawet system prawny z ustrojem. Gdy rozumie się przez ustrój system społeczny, ogólny mechanizm życia społecznego, wówczas urządzenia prawne stanowić będą tylko jeden ze składników ustroju; ich istotne miejsce w konkretnym ustroju wyznaczone jest przez rolę społeczną państwa, a zatem i rolę społeczną prawa w tym ustroju. Formuły prawne stanowią dogodny materiał informacyjny w stosunku do ustroju, ale obraz uzyskany przy pomocy tego zwierciadła ustroju wymaga skontrolowania przez ogół zjawisk społecznych współczesnych. Dogmatyczne traktowanie form prawnych podobnie jak idiograficzna metoda dziejopisarska odpowiada postawie obserwatora, którąbym nazwał „etnograficzną", chwyta bowiem zewnętrzną odrębność zjawisk, ich oryginalność, egzotykę, i systematyzuje je z punktu widzenia tej zewnętrznej, „optycznej" obserwacji, stoi na gruncie samodzielności naukowej tej klasy zjawisk — powierzchownych [8]).

Sytuacja polityczna — zabory, zaciążyła na konstrukcji historii ustroju Polski. Historia ustroju Polski miała pokazać minione Państwo Polskie przypomnieć je, dać jego wizję; konieczne były zatem rysy indywidualne jego ustroju, swoista fizjognomia, portret a nie schemat. Oryginalność rysów a nie typowość stanowiła zadanie historyka. Historia ustroju Polski miała w przeciwieństwie do historii politycznej zajmować się nie szczegółowymi zdarzeniami a sytuaciami ogólnymi, urządzeniami, instytucjami, ale posługiwała się metodą nie inną niż historia polityczna, metodą idiograficznego opisu tych urządzeń. Typologia znajdowała zastosowanie tylko jako uogólnienie w obrębie dziejów Polski, by-

*) Odnośniki, patrz, na końcu artykułu.

ła budowana na materiale jedynie lub głównie polskim, dzieje Polski i formy ustrojowe polskie stanowiły same dla siebie tło i porównanie, tło i porównanie zagraniczne miało służyć jako kontrast, dla uwypuklenia indywidualności formacji narodowej — oryginalności polskiej. Te konieczności polityczne zwężały szanse naukowego traktowania przedmiotu [9]).

Ustrój, system społeczno-polityczny może być pojęciem naukowym tylko przy założeniu, że jego konkretne egzemplarze, a przynajmniej ich istotne elementy składowe dadzą się uporządkować w typy, oraz że uda się skonstruować teorię występowania tych typów, a zatem teorię rozwoju społecznego — powszechnego. Historia ustroju i historie ustroju któregokolwiek państwa powinny odwoływać się do typologii ustrojowej i do teorii rozwoju społecznego, która dla nich przedstawia teorię historii ustroju [10]).

Historia i historia ustroju nie znajdują się w sytuacji wyboru między metodą idiograficzną a nomotetyczną, istota problemu sprowadza się do sprawy „myślenia historycznego" i jego roli w metodzie nauk historycznych. Idealistyczny w gruncie rzeczy idiografizm historyczny nakazywał wżyć się w dzieje i rekonstruować je jako opowieść o jednostkowym autonomicznym ciągu. Zrozumienie znaczenia i roli ustroju zmusza do umieszczenia każdego z konkretnych historycznych ustrojów narodowych w rzędzie historycznych typów ustrojowych oraz prowadzi do metody „odnośników", od zdarzeń jednostkowych do współczesnego im ustroju i wzajemnie od ustroju do zdarzeń wypełniających go. Metoda pierwsza to metoda umieszczenia każdego faktu w ustroju, a co zatem idzie społeczno-polityczne powiązanie wszystkich, wyznaczenie historycznej roli każdego z nich, społeczna konstrukcja obrazu dziejowego. Metoda druga — „odnośników" od ustroju do faktów — to metoda weryfikacji konstrukcji ustrojowej. Ustrój jest taki jak go stwarzają fakty, ustrój to syntetyczna konstrukcja naukowa faktów, ustrój to fakt ogólny, spostrzeżony w toku naukowej obserwacji społecznej, sformułowany w języku społecznych konstrukcji naukowych [11]).

Fakty szczegółowe znaczą społecznie tylko w odniesieniu do ustroju, ustrój istnieje w rzeczywistości tylko w faktach — ostatecznie szczegółowych. Wyznaczą to wzajemny związek między historią ustrojów względnie historia ustroju narodowego, a historią tzw. polityczną opowiadającą o szczegółowych wydarzeniach i sytuacjach.

PRZYPISY

1) O jakąś teorię, i to właśnie o teorię historii ustroju opierały się wszystkie próby podziału historii polskiej na okresy. Por. niżej w tekście sprawę zmiany pojęć co do istoty „ustroju" oraz sprawę syntetycznego charakteru ustroju. Próbie podziału na okresy zawdzięcza też swe powstanie teoria Balzera. Por. **Balzer**, Z powodu nowego zarysu historii ustroju Polski, Kwartalnik Historyczny 1906. **Balzer** Historia ustroju Polski, skrypt wykładów uniwersyteckich, Lwów 1933. Nowym zarysem, o którym mówi Balzer, był podręcznik **Kutrzeby**, Historia ustroju Polski w zarysie (Korona, wyd. I, Lwów 1906).

Analizę różnic pomiędzy syntezą podręcznikową Kutrzeby, a syntezą Balzera przeprowadził na gruncie teorii okresów historycznych i faz rozwojowych **Siemieński**, Podział historii ustroju Polski na okresy. Księga pamiątkowa ku czci O. Balzera, tom II, Lwów 1925. O przedmiocie historii ustroju Polski pisze Siemieński: „To co się wykłada i o czym się pisze jako o historii ustroju Polski, to nie jest hstoria ustroju państwowego i społecznego zarazem, ani też tylko historia ich wzajemnego stosunku. To jest historia ustroju państwowego tylko: ustrojem społecznym zajmuje się zaledwie tyle, ile potrzeba do wyjaśnienia dziejów ustroju państwowego... Zjawiska z tej dziedziny (historii społecznej) uwzględniane są w historii ustroju Polski tylko o tyle, o ile znalazły wyraz czy odbicie w prawie, czy o ile są zarazem zjawiskami z dziedziny historii prawa".

O podstawie podziału na okresy, a więc i o założeniach syntezy pisze Siemieński: „Historię ustroju Polski rozumianą jako historię polskiego prawa politycznego chciałbym podzielić według zasady głównej dziejów każdego ustroju państwowego, według odmian podstawy wszelkiego prawa politycznego, tj. linii rozwoju formy rządu. Najistotniejszym dla każdego ustroju politycznego jest zagadnienie, w czyim ręku spoczywa władza (Op. cit. str. 455).

2) Por. **Balzer**, Historia ustroju Polski, skrypt, str. 6: „Skoro mówiliśmy o historii ustroju Polski to rozumiemy, że chodzi tutaj o ustrój społeczny i ustrój państwowy Polski przedrozbiorowych. Wykłady Balzera i ich konspekt w Sprawozdaniach Akad. Umiej. pt. Historia ustroju Polski, przegląd wykładów uniwersyteckich, Kraków 105 zarys Kutrzeby (w pierwszych wydaniach), szkic **Siemieńskiego** Ustrój Rzeczypospolitej Polskiej (wyd. II Warszawa 1917) objęły historię przedrozbiorową całą i tylko. Ostatnio **Kaczmarczyk** Zdz. w rozprawce pt. Reformy stanisławowskie (1764—1795) na tle dziejów Państwa Polskiego w czasach nowożytnych. Czasopismo prawno-historyczne tom I, Poznań 1948 przyjmuje bez zastrzeżeń ten zakres historii ustroju Polski, dążąc jedynie do pełniejszego uwzględnienia w niej okresu reform stanisławowskich.

Wprawdzie Kutrzeba w dalszych wydaniach swego **Zarysu** uwzględnił i czasy porozbiorowe — do 1914 r. (Historia ustroju Polski w zarysie, tom III i IV, Po rozbiorach, Lwów 1916, 1917 wyd. III Lwów — 1920), ale materiał porozbiorowy znalazł się poza systemem przedmiotu, skonstruowanym tylko dla czasów wcześniejszych; nie został też ujęty w żaden inny zwarty i konsekwentny system. Podobnie w zarysie **Tymienieckiego**, Historia ustroju. Wiedza o Polsce, tom IA, Warszawa bd.

3) Klasycznemu podziałowi na okresy historii ustroju Polski — przedrozbiorowej — starałem się przeciwstawić inny podział, obejmujący i czasy późniejsze — w recenzji z książki Wojciechowskiego, Państwo Polskie w wiekach średnich, Dzieje ustroju (**Myśl Współczesna 1946**, zesz. 5). Jako próba syntezy obejmującej dzieje przed i porozbiorowe i porządkującej ten cały materiał historyczny na jednolitej podstawie metodycznej pomyślane są też moje **Dzieje chłopów w Polsce** (1947). Recenzenci tej książki nie zajęli stanowiska w odniesieniu do tego zagadnienia metodycznego.

4) W artykule dyskusyjnym pt. **O problematykę najnowszej historii Polski (Dzieje Najnowsze**, tom I Warszawa 1947) poddał rewizji zagadnienie suwerenności w historii polskiej **Wereszycki**. Niektóre jego tezy spotkały się ze sprzeciwem, w każdym razie artykuł ten stanowi wyraz potrzeby rewizji schematów, którymi posługiwała się historiografia nasza.

5) „W średniowieczu widział zdaje się zrealizowane swe idee społeczno-polityczne" — pisze o Balzerze **Wojciechowski**, Oswald Balzer, Kwartalnik Historyczny, 1933 i odb. str. 78, por. też str. 89.

6) Por. **Siemiński**, Polska kultura polityczna wieku XVI Kultura Staropolska, Kraków 1932, zwłaszcza str. 163 i nast.

7) O perwotnej roli historiografii por. **Korzon**, Listy otwarte, mowy, rozprawy, rozbiory, t. II, Warszawa 1916, str. 58 i nast. 83 i nast. 105 oraz **Czarnowski**, Powstanie i społeczne funkcje historii (Społeczeństwo — kultura, Warszawa 1939, str. 87 i naśt.). O zmianach sposobu widzenia i rozumienie życia i przeszłości por. ponadto **Znamierowski**, Potrzeby życia a nauki społeczne. Życie Nauki t. III, str. 294 i nast.

8) O społecznej roli ustroju prawnego por. recenzję moją z Wojciechowskiego, Państwo Polskie w wiekach średnich, Dzieje ustroju (**Myśl Współczesna** 1946, zesz. 5 str. 110).

Teza **Sobocińskiego**, że historia musi być historią czegoś, a zatem, że historia prawa zajmuje w klasyfikacji nauk miejsce obok historii innych rzeczowych dziedzin życia m. in. i historii politycznej (-polityki) znajduje się poza dyskusją o roli prawa w życiu społecznym. Por. **Sobociński**, Historia prawa a historia na tle zagadnienia klasyfikacji nauki. **Życie Nauki** 1946, nr 7—8.

9) Por. **Śreniowski**, Idea oryginalności w historiografii polskiej, **Myśl Współczesna**, 1947.

10) Por. **Czarnowski**, Metoda socjologiczna w badaniu społeczeństwa i kultury. „Historyk — stwierdza Czarnowski — zdolny jest rozpoznawać fakty poszczególnego przebiegu, o ile może sklasyfikować je jako odmiany typów" (**Społeczeństwo — Kultura**, str. 27).

11) **Czarnowski** (op. cit) mówi o współzależności układu i faktu". O roli faktów politycznych w historii ustroju por. recenzję moją z Wojciechowskiego, Państwo Polskie (**Myśl Współczesna**, 1946 zesz. 6—7, str. 321) nast.).

Przy takim rozumieniu historii i historii ustroju problem (który zdaje się wynikać z recenzji Vetulaniego) czy ustrój powinien być przedstawiony od strony statystycznej czy dynamicznej nie wydaje się istotny. Por. **Vetulani** — Nowy zarys historii ustroju Polski w średniowieczu, **Przegląd Historyczny** 1948, zwłaszcza str. 44 i nast.

Za sprawą „myślenia historycznego", rolą ustroju i metodą „odnośników" do ustroju — wiąże się sprawa syntezy historycznej i jej roli w dziejopisarstwie. Wielcy syntetycy byli ustrojowcami. Por. u nas dziejopisarstwo Lelewela czy też **Bobrzyńskiego** — Dzieje Polski. O naukowym znaczeniu syntezy historycznej por. **Balzer**. Z powodu nowego **zarysu**, **Kwartalnik Historyczny**, 1906, str. 3, ostatnio na ten temat por. recenzję moją z Rutkowskiego — Historia gospodarcza Polski t. I (**Myśl Współczesna**, 1946 zesz. 6—7, str. 321 oraz **Rutkowski**. Niewyjaśnione i sporne zagadnienie z zakresu gospodarczych dziejów Polski w czasach przedrozbiorowych **Roczniki Dziejów Społecznych i Gospodarczych**. 1947 str. 97.

Stanisław Śreniowski

Władysław Błachut

HISTORIA W SZKOLE LUDOWEJ

Mój kontakt z historią zawiązał się w wiejskiej „szkole ludowej 2-go stopnia" pod koniec pierwszej wojny światowej.

Na frontowej ścianie naszej drewnianej izdebki szkolnej wisiały sobie od lat soczyście upstrzone przez muchy portrety apostolskich władców monarchii austriackiej: nieżyjącego już wówczas, ale pełnego zasług siwego starca z długimi faworytami Franciszka Józefa I, jego młodego, przystojnego bratanka cesarza Karola II i małżonki tego ostatniego cesarzowej Zyty, pięknej Pani w powłóczystych szatach. Na wiosnę 1918 roku, kiedy zaczęło się mówić o rychłym końcu wojny, nasz kierownik szkoły umieścił ostentacyjnie na przeciwległej ścianie daleko skromniejszych rozmiarów odbitki popularnych wówczas na wsi portretów Tadeusza Kościuszki w chłopskiej sukmanie i Kazimierza Pułaskiego w pięknym stroju konfederackim.

Dookoła tych osób oraz nastrojowego portretu królowej Jadwigi w koronacyjnym stroju, który oglądałem w ciemnym kącie zakrystii kościelnej skupiały się wszystkie nasze zainteresowania chłopięce. Zwłaszcza dostojne postacie cesarzy Austrii a równocześnie potężnych władców wielu „krain i ludów" cieszyły się u nas najżywszym zaciekawieniem i szczerą sympatią. Ich zawsze „chwalebne" dzieje podawane nam poczynając od Rudolfa z Habsburga z całym pietyzmem przez pana nauczyciela nieraz zawadzały o sprawy i troski poszczególnych chłopów i całego stanu chłopskiego.

Rzecz zrozumiała, że zarówno w ustach naszego nauczyciela, jak i na stronicach pogadanek historycznych czy wypisów szkolnych z języka polskiego każde zetknięcie się cesarza czy króla z poczciwym kmiotkiem kończyło się niezmiennie jego radykalną odmianą losu. Dzięki dobroci i łasce cesarskiej jego troski i kłopoty znajdowały natychmiast szczęśliwe rozwiązanie a często za potężną interwencją głów koronowanych położenie całego „stanu" chłopskiego doznawało poprawy.

O ile chodzi o stosunki galicyjskie to jeszcze w moich latach szkolnych dość żywą była na wsi tradycja aktu cesarskiego z 1848 roku, znoszącego powinności pańszczyźniane i oddającego chłopom ziemię na własność. Natomiast powiązanie tego faktu z historią eksploatacji i ucisku chłopów przez szlachtę na przestrzeni wieków było nadzwyczaj luźne. Wprawdzie mówiło się jeszcze na wsi o „pańskim", o rabacji chłopskiej i krwawych zapustach galicyjskich, odzywały się echa zatargów chłopskich z dworem o serwituty i świadczenia socjalne na rzecz gminy, jednak dzięki wpływom idącym z góry fakty te przesłaniała coraz gęstsza zasłona niepamięci i pobłażliwego przebaczenia.

Równocześnie przy pomocy aparatu rządowego i kościelnego stan szlachecki dokładał wszelkich starań, aby w oczach budzących się powoli z wiekowego uśpienia mas chłopskich przedstawić się jak najkorzystniej, swoje niechlubne względem chłopów poczynania wytłumaczyć koniecznościami historycznymi (szlachcic bronił granic Ojczyzny — chłop musiał pracować na wyżywienie jego dworu i drużyny) a swoje wątpliwej rangi zasługi odpowiednio wyolbrzymić.

Cała ta umiejętna akcja miała ten skutek, że na rozpartych dumnie w ławkach kolatorskich przed wielkim ołtarzem dziedziców z okolicy spoglądaliśmy w czasie niedzielnej sumy z życzliwym nabożeństwem a ich odizolowane od życia wsi siedziby omijaliśmy z pełnym szacunku wzruszeniem, w najlepszym razie z daleka obserwując tajemne życie we dworze...

Wracając do tradycji historycznych z czasów mojej młodości w austriackiej szkole ludowej a następnie w gimnazjum polskim, nie mogę oprzeć się wspomnieniom, nawiązującym do tej urzędowej metody przewartościowywania wątpliwych wartości, niewątpliwych zdolności budowania światopoglądów i urabiania charakterów na fałszywych, ad hoc skonstruowanych przesłankach, kształcenia młodych umysłów w zakresie umiejętności historycznych na ahistorycznych, przeważnie zakłamanych materiałach i legendach.

Ilustrując galerię władców Polski przedrozbiorowej na każdym kroku wbijano nam w głowy, jako rzekomy pewnik, że dobrzy i bogobojni książęta i królowie polscy o niczym innym nie myśleli, jak tylko o poprawie położenia chłopów. Wielu z nich, jak np. Władysław Łokietek, Kazimierz Wielki, Królowa Jadwiga, Jan Kazimierz w okresie potopu — to po prostu zaprzysiężeni przyjaciele chłopów (Kazimierzowi W. kazano nam brać za złe, że tolerował Żydów...). Również naszych wodzów, hetmanów i bohaterów narodowych ukazywano nam stale w aureoli niezwykłości, niektórych jak np. bohatera spod Cecory Żółkiewskiego czy Tadeusza Kościuszkę po prostu w nimbie świętości. W ogóle o ile chodzi o świętych to zwłaszcza w średniowieczu prawie wyłącznie rodzili się oni po pałacach królewskich i dworach magnackich, gdzie zawsze i wszędzie kwitły wszystkie cnoty, rodziły się same zalety, panowała anielska dobroć i wzruszająca prostota...

Ponieważ głosy rewizjonistów i odbrązawiaczy historii nie dochodziły wówczas na ławy szkolne, każdy z nas urobił sobie jak najlepsze pojęcie o tym, co było, wierzył święcie w to, że inaczej być nie mogło i poniekąd żałował, że nie urodził się w czasach, kiedy królowie i dobrzy panowie chętnie otaczali się „ludem", wchodzili między prostaczków, dzielili się z nimi swym majątkiem.

W podobnym duchu oddziaływały na nas rozpowszechnione na wsi kalendarze chłopskie, prasa świecka i kościelna dla „prostego ludu wiejskiego" a przede wszystkim powieści o tematyce religijnej i historycznej. Nawet skądinąd tak wartościowa literacko „Trylogia" Sienkiewicza, z którą zapoznałem się we wczesnej młodości utwierdziła mnie we wpojonym przez kościół i szkołę przekonaniu o niezwykłych wartościach umysłów i charakterów po stronie naszych królewiąt, rycerzy i panów — szlachty, stanowiącej stale gotowe do bohaterskich czynów zbrojne ramię niepokojonej przez czerń Ojczyzny, jedynie zdolnych do najwyższych poświęceń i podniosłego męstwa.

W każdym razie w tym czasie każdy z nas bez zastrzeżeń kroczył w orszaku krwawego Jaremy, nawiedzającego ogniem i mieczem sadyby bratniego ludu ruskiego, buszował z Kmicicem i Wołodyjowskim po dalekiej Litwie i Żmudzi, baraszkował z panem Zagłobą na sejmikach, zajazdach i elekcjach.

Nikt z nas nie interesował się w tym czasie zagadnieniem, jak kształtowały się w poszczególnych okresach historycznych losy i sprawy chłopskie, a nawet zryw rewolucyjny uciemiężonego przez szlachtę ludu wiejskiego z okresu „ogniem i mieczem" znalazł w nas najsurowszych sędziów. Tak samo klęski orężne pod Cecorą, Piławcami czy inne bez większego sprzeciwu przypisywaliśmy za „panią matką" niesfornym i leniwym ciurom, zbuntowanej przez Kozaków czerni czy bezmyślnej, zdolnej jedynie do wyżerki gawiedzi obozowej.

O tym, jak trwały, głęboki i powszechny był wpływ naiwnych legend i zmyślonych historyjek na kształtowanie się światopoglądu młodego pokolenia chłopów w naszych czasach świadczą najlepiej znane zjawiska zasilania endeckich organizacji akademickiej przez studentów pochodzenia chłopskiego, bierność a nawet oporność mas chłopskich wobec poczynań postępowych kierunków chłopskich zwłaszcza w epoce sanacyjnej, wyraźna niechęć a dość często po prostu zabobonny strach przed karą boską i gniewem pańsko-plebańskim z powodu dzielenia na gruncie Manifestu Lipcowego pańskich latyfundiów między bezrolną i małorolną biedotę wiejską, uparte udzielanie poparcia przez znaczny odłam mas chłopskich reakcyjno-kapitalistycznym elementom spod znaku NSZ i byłego PSL.

Dlatego wszelkie poczynania rewizjonistyczne w szczególności w zakresie historii wsi i chłopów muszą wzbudzić w masach chłopskich najżywsze zainteresowanie.

Dzisiejszy świadomy swej wartości i swego znaczenia chłop polski, pragnie jak najszybciej dowiedzieć się, jakie przyczyny złożyły się na jego osobiste, kulturalne i cywilizacyjne zacofanie, jak się to stało, że z wolnego kmiecia w epoce pierwszych Piastów, już za Jagiellonów stał się niewolnikiem szlachcica i przez całe wieki z tej tragicznej niewoli nie mógł się wyzwolić.

Trzeba mu więc szybko i gruntownie przygotować teren do zrozumienia historycznych przemian na odcinku chłopskim, oczyścić przedpole z różnego rodzaju legend i historyjek, powiązać konkretne fakty i zdarzenia historyczne z podglebiem socjologicznym i procesami gospodarczymi.

Władysław Blachut

Stefan Ignar

Wychowanie do „warstwy chłopskiej"



I. Solarz. Na konferencji ZWM RP w Chodowie 1937 r.

Fot. J. Ciola

UWAGI WSTĘPNE

Dyskusja nad uniwersytetami ludowymi trwa już trzy lata. Nie ogranicza się ona do samych u. l., lecz jest przejawem żywionego poszukiwania właściwych dróg dla rozwoju kultury i wychowania w ustroju demokracji ludowej.

Założenia programowe u. l. wiążą się, jak wszystkie problemy związane z pracą instytucji społecznych, z ustrojem, który jest podstawą rozwoju i funkcjonowania wszelkich instytucji życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego. Powiązanie takie występuje bardzo wyraźnie w historii szkolnictwa i oświaty, co zostało w licznych pracach całkowicie udowodnione, że przytoczę tu tylko „Historię Wychowania" St. Kota i świeżo wydaną książkę J. Chałasińskiego „Społeczeństwo i Wychowanie".

Uniwersytety ludowe pojawiły się w Polsce przed 27 laty. Pierwszą placówką tego typu był U. L. w Dalkach pod Gnieznem, założony przez ks. Ludwiczaka w 1921 roku. Był to zakład wychowawczy Tow. Czytelni Ludowych (T. C. L.), w którym to towarzystwie ks. Ludwiczak odgrywał dużą rolę jako jeden z jego kierowników. W trzy lata później powstał Wiejski Uniwersytet Ludowy im. Wł. Orkana w Szycach pod Krakowem. Zorganizował go z ramienia Związku Nauczycielstwa Szkół Powszechnych dr E. Nowicki powołując inż. Ignacego Solarza na dyrektora tego zakładu. W następnych latach międzywojennego okresu powstało kilkanaście u. l., zbliżonych do jednego i dwóch pierwszych wzorów. Czołowe miejsce w ruchu u. l. zdobył sobie w niedługim czasie Wiejsk. U. L. im. Orkana dzięki wybitnej indywidualności I. Solarza, oddanego całą duszą sprawie wsi. Placówka Solarza, będąc wzorem dla innych u. l., równocześnie wyraźnie odcinała się od nich tym, że była związana z niezależnym ruchem chłopskim, a ściśle biorąc ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej R. P. (Wici). Pozostałe natomiast u. l. mieściły się w ramach zamierzeń oświatowych ówczesnego „sanacyjnego" rządu, bądź Akcji Katolickiej.

Ponieważ w U. L. im. Orkana w Szycach do czasu zwolnienia Solarza, a później pracujący pod jego kierownictwem Wiejski Uniwersytet w Gaci stał się głównym fundamentem tradycji wychowawczych współczesnych u. l., stąd też mówiąc o założeniach programowych, będę w dalszych rozważaniach analizował zakład kierowany przez Solarza, jako przykład instytucji wychowawczej ruchu chłopskiego w okresie międzywojennym.

Widzę dwa główne typy tych instytucji, dla których warunki istniały już o wiele wcześniej od powstania pierwszych Uniwersytetów Ludowych, sięgając niemal połowy XIX wieku.

1. KONCEPCJA RODZINNA U. L.

U. L. typu rodzinnego wyrósł na podłożu naturalnej gospodarki chłopskiej. Gospodarka naturalna związana jest z prowadzeniem rodzinnego gospodarstwa, dla zaspokojenia we własnym zakresie wszystkich potrzeb rodziny. Nie występuje tu pojęcie indywidualnej własności kapitalistycznej. Obca jest gospodarstwu rodzinnemu produkcja towarowa. Wymiana ograniczona jest do minimum. Gospodarstwo tego typu nie korzysta z pomocy instytucji finansowych i organizacji gospodarczych. Pomoc w potrzebie znajduje u sąsiadów, którzy często są członkami tego samego rodu i również gospodarują na podobnych gospodarstwach.

„Był zwyczaj, który się i później zachował, że w czasie większych robót w. żniwa pomagali sobie, czyli „odrabiali sobie" nawzajem. Również gdy się kto budował, to sąsiedzi krewni i znajomi w gminie pomagali mu po przyjacielsku zwieźć materiał budowlany, wyjeżdżali razem do lasu i prawie zaraz wszystko zwieźli, a mieli za to tylko poczęstne, wódkę i przekąskę" *).

Chłopska gospodarka naturalna na przełomie XIX i XX wieku nie była oczywiście samodzielną formacją ustrojową na wzór pierwotnych wspólnot rolnych. Był to raczej uboczny produkt rozwoju ustroju imperialistyczno - kapitalistycznego i jego oddziaływania na kraje zacofane.

Z taką gospodarką wiązała się t. zw. kultura ludowa, której cechą był ciasny regionalizm, wynikający z izolacji chłopów od szerszych kręgów społecznych. Kultura ta kształtowała się pod silnym wpływem parafii, jako podstawowej formacji społecznej w przedoświatowym okresie życia wiejskiego. Przejawami kultury ludowej były obrzędowe uroczystości weselne, jasełka, szopki, lajkoniki, gaiki, pańszczyźniane dożynki, pozbawione treści narodowych i klasowych pieśni ludowe, tańce regionalne, przydrożne rzeźby oraz przesądy stosowane w hodowli, uprawie, lecznictwie, jak również w kształtowaniu magicznego światopoglądu. Pierwszy emancypacyjny okres społecznego ruchu chłopskiego miał za cel zachowanie kultury ludowej po odrzuceniu naleciałości pańszczyźnianych i kościelnych. Rodzina chłopska, związana w ramach familii i sąsiedztwa gromadzkiego, miała być podstawową komórką, odrodzonego w oparciu o tradycje chłopską życia narodu. Wzoru takiego odrodzenia doszukiwano się w przedfeudalnych formach ustroju rodowego.

Uniwersytet ludowy, jako wyraz tak pojętego ruchu wyzwoleńczego, wychowuje młodzież dla rodzin, które powiązane są więzią rodową i sąsiedzką w ramach gromady. Odznaką wychowanków wiejskiego uniwersytetu jest t. z. krzywula, jedna z form prasłowiańskich wici. Wychowankowie Solarza, a wraz z nimi młodzież „wiciowa", odrzucają pańszczyźniane formy dożynków, a sięgają do starych wzorów, według których wieńce żniwne składa się starszyźnie rodowej, a nie dziedzicowi lub przypominającemu dziedzica staroście.

Sama organizacja wewnętrzna u. l. opiera się na wzorach rodzinnych. Po krótkim okresie dyrektorstwa małżeństwo Solarzowie nazwali się „Chrzestnymi". Młodsi wychowawcy, pomagający Solarzom, to „swokowie**) i „strykowie". Słuchacze — to Solarzowe dzieci, chrześniaki". Rzeczywista rodzina kierownika jest składową częścią wielkiej rodziny „gackiej".

Uniwersytet ludowy typu rodzinnego nie zacieśnia się, rzecz jasna, do wąskich ram pojedyńczej gromady. Chce on odrodzić życie wszystkich gromad w Polsce. Występuje zatem w nim koncepcja społecznego ustroju w skali narodowej. Według tej koncepcji Polska winna się oprzeć na zdrowych, wolnych chłopskich rodzinach, powiązanych staroświeckimi nićmi familijnymi i sąsiedzkimi. Tak powiązane zespoły rodzin mają tworzyć spontanicznie współdziałające gromady. Nie potrzeba tu organizacji, któraby fałszowała naturalne więzy społeczne. Minimalną działalność organizacyjną, opartą o biura i funkcjonariuszy, można było tolerować jako zło konieczne.

Uniwersytet ludowy typu rodzinnego urabiał wśród młodzieży wrogi stosunek do szlachty i kleru. Przeciwstawiał się także formom życia miejskiego. Raz, że miasto w dużym stopniu przejęło za pośrednictwem inteligencji szlacheckiej postawę wobec chłopów. Stosunek pan - cham z płaszczyzny dworskiej przeniósł się na płaszczyznę miejską. Miasto jednak, zaawansowane w technicznym rozwoju produkcji, posiadało stosunki społeczne dalekie od patriarchalnych wzorów rodzinno - sąsiedzkich. Aby zdyskredytować atrakcyjną formę ruchliwego życia miejskiego, zwolennicy przedstawionej wyżej koncepcji twierdzili, że warunki życia miejskiego, pozbawiające człowieka bezpośredniego obcowania z przyrodą, wynaturzają jego charakter. Miasto, które przejęło wiele dorobku od obcych narodów, jest według ludomanów środowiskiem wyjaławiającym rodzimą kulturę, a maszyna, więżąc człowieka, przyczynia się do mechanistycznego i materialistycznego pojmowania świata, co jest niezgodne z religijną postawą człowieka wsi.

Uniwersytet ludowy typu rodzinnego wyrósł w atmosferze szerokiego nurtu społeczno - kulturalnego, reprezentowanego u nas przez takich teoretyków, pisarzy i działaczy, jak St. Witkiewicz, J. L. Popławski, J. Adamowicz-Piliński, Franciszek Bujak, St. Pigoń i J. Niećko. Realizatorem tej idei na gruncie u. l. był Ignacy Solarz.

Przedstawiony w ogólnych zarysach typ u. l. zawierał wiele pierwiastków postępowych. Był on na pewnym etapie wyrazem emancypacji warstwy chłopskiej z pańszczyźnianego systemu społeczno - kulturalnego, który trwał przez wiele lat po zniesieniu pańszczyzny w sensie prawno - ekonomicznym. Równocześnie jednak występowały tam elementy szkodliwe dla dalszego rozwoju społecznego wsi, szczególnie w zaszeregowaniu do jednej kategorii miejskiej warstwy kapitalistycznej i robotniczej. Idee doskonałości życia chłopskiego na rolnej parceli pokrywa się bowiem z tendencją klas panujących izolowania chłopów od robotników. Naturalna gospodarka rolna na początku XX wieku nie chroni chłopów od zgubnego wyzysku kapitalistycznego. Ideologia, apoteozująca prymitywne życie wsi, nie jest wcale wynalazkiem polskich ludowców. Zrodziła się ona na Zachodzie w połowie XIX wieku i to wcale nie w chłopskim środowisku.

*) Jan Słomka — pamiętniki włościanina.

**) Swok — pociotek — mąż ciotki.

„Pojawili się zagorzali demokraci-ludowcy w osobie różnych książąt, baronów i proboszczów. Co w ich duszy przeważa, czy skłonności demokratyczne, czy też przekonania zachowawcze — trudno odpowiedzieć, acz nie ma najmniejszej wątpliwości, iż w orszaku tych działaczy istnieją ludzie całym jestestwem swoim pracujący nad zapewnieniem dobrobytu tłumom włościańskim. Natomiast ich założenia teoretyczne odznaczają się wyrazistością i konsekwencją. Jeśli Lassalle usiłuje zburzyć społeczeństwo tegoczesne z pomocą brygad robotników fabrycznych, — pisze jeden z wybitnych teoretyków partii społeczno - chrześcijańskiej, Hitze, — to my udamy się na czele włościan i rzemieślników, ażeby je ocalić" *).

Bystra analiza Krzywickiego z przed niemal 50 laty została potwierdzona faktami z ostatniego okresu naszej historii w latach 1935—1947.

Jakkolwiek idea u. l. typu rodzinnego kształtowała się w oparciu o pierwiastki rodzinne, to jednak nie mogła ona nie ulec wpływom o charakterze międzynarodowym. Sam zresztą wzór instytucji został zapożyczony z Danii. Toteż obok treści związanej z kulturą ludową u. l. popularyzuje pacyfizm w stylu liberalnym, jak również indywidualizm w pojmowaniu zagadnień wyznaniowych. Przyjęła się tu także ghandyjska idea nie sprzeciwiania się złu, pokrywająca się zresztą z ewangelicznym pojmowaniu chrześcijaństwa przez ideologów ludowych. Nurt ten był w Polsce w latach trzydziestych na tyle silny, że został ochrzczony specjalną nazwą „nadwiślańskiego gandhyzmu".

Twórcom tego kierunku wydawało się, że zdołają znaleźć w wewnętrznym życiu wsi lekarstwo na chorobę, jaka trawiła cały ustrój. Widzieli oni niektóre symptomy tej choroby, lecz nie zdołali postawić trafnej diagnozy. System kapitalistyczny poprzez swój polityczny wyraz w postaci demokracji liberalnej łudził, że na drodze wyzwalania wewnętrznych sił w ramach tradycyjnego układu stosunków wiejskich można zbawić od zguby cały świat. W takich warunkach mistyka chłopomańska wzięła górę nad zrozumieniem konieczności wspólnej walki z robotnikami przeciw istotnemu wrogowi. Ruch robotniczy w Polsce znajdował się zresztą w podobnej matni, jak i chłopski.

2. KONCEPCJA ROCZDELSKA

Kryzys w latach 1929—1934 wykazał, że wieś wraz ze swoim wzorem naturalnej gospodarki znalazła się w miażdżących trybach ustroju kapitalistycznego, którego dyspozycje płynęły z dalekiej Ameryki i innych ośrodków imperialistycznych. W czasie kryzysu chłopi cofnęli się do jeszcze doskonalszych form gospodarki naturalnej, lecz ta praktyka nie przekonała ich o słuszności teorii rodzinno-sąsiedzkiej. „Pamiętniki Chłopów", wydane przez sędziwego Ludwika Krzywickiego są najlepszym tego wyrazem. Stosunek chłopów do kapitalistycznej gospodarki wypadł w ocenie pamiętnikarzy tak negatywnie, że ugodowy Wład. Grabski próbował stuszować go w swej recenzji na łamach „Przeglądu Socjologicznego", twierdząc, że postawa chłopów jest na ogół inna, aniżeli to wypadło z „Pamiętników".

Kapitaliści, widząc, że nie zdołają obronić politycznie panującego ustroju gospodarczego przy pomocy luźnych form demo-liberalnych, szukają nowych sposobów. Aby uchronić się od wstrząsów, powodowanych przez wystąpienia coraz bardziej świadomych mas chłopskich i robotniczych, uciekają się do faszyzmu. W odpowiedzi na to występuje nowa koncepcja niestrudzonych przeciwników rewolucji w ruchu chłopskim. Zdaniem ich chłopi polscy nie potrafią prowadzić walki politycznej. Większość chłopów jest bierna lub dała się uwieść organizacjom reakcyjnym (endecja, Akcja Katolicka). Część chłopów, zorganizowana we własnych partiach politycznych, występuje niejednolicie. Z robotnikami, także rozbitymi, nie można znaleźć wspólnego języka. Wprawdzie doszło wreszcie do zjednoczenia politycznego ruchu chłopskiego pod obuchem pełni wigoru młodej „sanacji". Kongres krakowski w 1929 i wybory samorządowe w 1933 roku wykazały, że Piłsudski potrafi utrzymać w karbach niesforne masy. Ma on przy tym na lewym skrzydle ruchu ludowego wielu zauszników, którzy potrafią w porę rozładować polityczną akcję Stronnictwa Ludowego, podobnie jak w PPS.

*) Ludwik Krzywicki — „Kwestia Rolna". Warszawa 1903; str. 365.

W takich okolicznościach trzeba się uciec do sposobów, wypróbowanych przez upośledzonych robotników angielskich w Rochdale. Metoda taka zresztą odpowiada ludziom, którzy są przejęci ewangelicznym chrześcijaństwem i gandhyzmem. Stąd upowszechnia się idea oddolnej drobnej spółdzielczości. Trzeba zakładać po wszystkich wsiach spółdzielnię. Sprzedawać proszki do prania i cykorię o pięć groszy taniej, aniżeli sklepik prywatny. Tym sposobem złagodzi się nieco nędzę chłopską, a co najważniejsze — wychowa się ludzi do współdziałania. Gdy takie wychowanie przejdą wszyscy chłopi, wtedy zbuduje się sprawiedliwą Rzeczpospolitą Spółdzielczą, po chrześcijańsku, bez rewolucji i grzechu. Równocześnie taką spółdzielczością zabezpieczy się naród przed niebezpieczeństwem odgórnego komunizmu, a chłopów przed złowrogą kolektywizacją. Spółdzielczość roczdelska nie jest niczym innym, jak powtórzeniem znanego na gruncie kapitalistycznym hasła „rób, co chcesz!" z tą różnicą, że poprzednio hasło „laissez faire" było antyfeudalne, a obecnie miało być hasłem antykapitalistycznym. W dziedzinie wychowania hasłu „rób, co chcesz" odpowiadała doktryna kształtowania osobowości, zgodna z zasadami liberalnymi. W tym więc czasie, kiedy kapitalizm porzucał zużyte formy i zasady i przybierał postać monopolisty i faszysty, ludzie nie lubiący rewolucji, a posiadający serce czułe na nędzę, ubierali się w stary rynsztunek idei liberalizmu. Spółdzielczość roczdelska mogła być i była istotnie przez cały czas przysłowiowym plasterkiem. Miała ona w sobie więcej elementów utopijno - moralistycznych, aniżeli gospodarczych i mogła znajdować powodzenie w zurbanizowanym społeczeństwie angielskim, gdzie i robotnik korzystał w części z imperialistycznego wyzysku narodów kolonialnych i zacofanych gospodarczo. Sklepiki spożywcze natomiast były na polskiej wsi w latach trzydziestych stanowczo nieskuteczną formą spółdzielczości. Nie było jednak wyboru. Spółdzielczość rolnicza, pozostająca pod patronatem obszarników, nie budzi zapału wśród demokratycznych działaczy chłopskich. Spółdzielczość spożywców „Społem", choć dostosowana do potrzeb życia miejskiego, ale posiadająca pociągająca utopijna postępowa ideologię roczdelską, daje większe możliwości wychowania dla rzeczypospolitej spółdzielczej.

Na tej podstawie ideologicznej rozwija się nowy typ u. l., który nazywam umownie roczdelskim. Najlepszym przykładem tego typu jest Wiejsk. Uniw. Orkanowy w Gaci, jako wyraz nowych potrzeb coraz żywszego ruchu społecznego wsi.

Wychowankowie tego u. l. zakładają setki spółdzielni po wsiach. Solarz tworzy nowe formy spółdzielcze i obejmuje nimi pomijane dotąd dziedziny życia. Uczniowie jego zakładają spółdzielnie drzewne, a on sam organizuje wśród gackich chałupników spółdzielnię koszykarską oraz spółdzielnię zdrowia w sąsiedniej wsi Markowa. Dawniejsze ideały rodzinne nadal obowiązują, lecz schodzą na dalszy plan. Podczas, gdy głównym ideałem szycaków było odrodzenie społecznego i kulturalnego życia wsi i narodu, to gacaki dążą do uspółdzielczenia. Potępiana dawniej organizacja znajduje teraz miejsce w uniwersytecie a nawet wprowadza się lekcje rachunkowości. Kierownik u. l. ma coraz mniej czasu na sprawowanie funkcji ojca — chrzestnego w gackiej rodzinie, ponieważ zamienił się w działacza spółdzielczego i w końcu został prezesem okręgowym „Społem" w Rzeszowie.

Był to niewątpliwie bardzo pożyteczny nurt wychowawczy, ale równocześnie wyniki wskazywały, że tą drogą nie dojdzie się do zamierzonego celu. Do u. l. przychodził coraz bardziej bojowy element i powodował nabrzmiewanie problemów politycznych. Przybywali także nowego typu „swokowie", którzy jednak zgodnie ze swą nazwą nie odgrywali równorzędnej roli z „chrzestnymi" i często się zmieniali. Odwiedzali Gać wybitni działacze i pisarze lewicowego ruchu robotniczego, jak H. Górska i L. Kruczkowski. Jeden ze „swoków" inż. Br. Drzewiecki wraz z najwybitniejszym wychowankiem Wł. Foltą podpisali w 1936 r. Deklarację Praw Młodego Pokolenia. Wiejski Uniw. Orkanowy wyjeżdżał z buntowniczym teatrem do ośrodków robotniczych w Krakowie i we Lwowie. Wielki wpływ na kierunek pracy u. l. wywarł strajk chłopski. Stopniowo więc typ roczdelski nasiąkał tendencjami rewolucyjnymi. Trudno jednak powiedzieć, że w Polsce wykształtował się typ u. l. rewolucyjnego. Przewaga wychowania do spółdzielczej pracy organicznej według hasła „chcąc zmienić świat, trzeba zmienić siebie" była do ostatka zbyt wielka. Zresztą nie było miejsca na jawną placówkę tego typu. Regime ówczesny miał sposoby na hamowanie takich wybujałowości. Jeżeli nie udawało się niebezpiecznych poczynań rozładować oddziaływaniem wychowawczym, wtedy stosował ostateczną wypróbowaną metodę policyjną.

O innych u. l. zgodnie z zapowiedzią nie wspominałem w charakterystyce typów jedne z nich — żyjąc efektownymi odpadkami solarzowskiej metody wychowawczej, uprawiały organicznikostwo o wiele gorszego typu, odprawiając nabożeństwa do patrona regime'u — J. Piłsudskiego lub też, jak placówki Akcji Katolickiej, miały za zadanie odciągać młodzież chłopską od „bolszewickiej" szkoły Solarza i wywrotowych „Wici",

Stanisław Piętak

W I E R S Z E



ŻYCIORYS

Nie zaprę się, nie zapomnę dawnych dni moich
Zmarznięte drogi, śnieg kosi w sadach liście,
a ja za chlebem, za książką bosy w noc idę,
bo i w śnie czekam na losu innego przyjście.
Nie tylko ja kochałem moc druku, lot myśli.
Nie tylko ja wydzierałem się z nędzy ku dalom,
wy rówieśnicy byliście chorzy od widzeń
równie jak ja i w świat wchodzili bez żalu.
Rozeszły się losy. Ja wciąż marzenie sławię,
wy zgarbieni trudem, biedą, cierpieniami
i w rozkoszy ciała nie widzicie jasności,
po alkohol sięgacie, by was ciął ogniami...
I nawiedza was ogień, by zdusić rozpaczą
później. Udręczeni nie śmiecie patrzeć w oczy
bliskim, w gniewie, nienawiści klniecie Boga, ludzi,
woda zapomnienia w śnie nawet was nie toczy.
Patrząc na was, widzę z jakim szczęściem przez życie
biegłem i swą moc twórczą tym bardziej chylę
przed wami. O dosyć, by i me słowo drobne
wiodło was jak dobry sen w szczęśliwsze bytu chwile...

NA POŻEGNANIE WSI RODZINNEJ

Ja bałwochwalczo wielbiłem skrawki rodzinne,
nawet ugór, bagno, krzak lichy na ojcowskim dziale.
Sady żyzne, domy z cegły, że były innych,
nie dusiły tak mnie nadzieją, szczęściem, żalem,
jak mech na naszej strzesze, szum drewnianej studni.
Mogłem godziny patrzeć na skłon starej gruszy,
mogłem liczeniem kłosów do zmierzchu się trudzić
i czekać wśród pełnej nocy, aż księżyc dom ruszy...
Mogłem, a dziś boleję nad skazą myślenia
mego i oczy kieruję do całej ojczyzny
żarliwszy. Drodzy, dla nas, dla Polski istnienia
potrzebne jest złączenie kraju z ojcowizną.
O, kochać trzeba wspólne dobra, wspólne domy,
gromadzkim szczęściem cieszyć się jak własnym plonem.
Życie nasze na ziemi, to postój znikomy,
nieśmy w przyszłość dzieła narodem wieńczone.

DO MŁODEGO POETY

Nie mów, że burza unosi twarz ukochanej
i na pyle w błyskawicy kładzie ją nad łanem.
Nie mów, że w szczęściu wypatrujesz innych światów—
i gdy świta, czekasz rozwinięcia się kwiatów.
Kamieniarzom w upale skóra schodzi z twarzy,
a ty o westchnieniu róż piszesz, że się jarzy
na promieni i ważek przelocie białym —
i że dzieci widząc zejście słońca płakały.
Od uklęku nad pięknem ciebie nie odmawiam,
wszakże sam noc, drzewa, nie istniejące wysławiam.
Przezwyciężyć tyś przecie winien słabość moją
i moc swą oddać sprawom ludzkim, trudom, bojom.
O kto nie drgnął nad głodem i śmiercią człowieka,
komu od jęku zwierząt nie zwilgła powieka,
ten pióra niech nie bierze do lekkiej swej ręki.
I dziecko rozezna kłamstwo od serca męki.

PRZESŁANIE

Tak, z nadmiaru sił tworzenia, z miłości
zjawisk życia są lęki moje, troski
I dziś stoję u gwiazd w smudze jasności —
i dziś układam o łzach ludzkich zgłoski.
I chmur przemiana mnie raduje, biały
ruch liści niesiony westchnieniem nowin.
Kochanie gdy czytam z młodziutkiej twarzy,
w bł'skawicach wieczoru przelot sowy
Rad bym wyczerpać życie w sił bogactwie,
ukochać i nieznane rzeki, nieba.
W widnokręgi z gromadą biec, gdy cień upadnie,
śledzić w wzruszeniu wielkim wciąż blask drzewa.
Nie zmęczyć się poznaniem ni w starości,
dla młodych warg, młodej pieśni iść milę.
A gdy i umrzeć przyjdzie to w myśli jasności,
radować się pracą w ostatnią chwilę.

Franciszek Kuś

WSPOMNIENIA...

Rodzinna wieś moja, Wołowice, leży na „Ziemi Krakowskiej". Chłop tutejszy już po kongresie wiedeńskim od pańszczyzny uwolniony, a od roku 1817 szkołę ludową i fachowo wykształconego nauczyciela mający, różnił się poziomem umysłowym i uświadomieniem narodowym od chłopa ze wsi leżących po prawym brzegu Wisły, pod zaborem austriackim. Nic też dziwnego, że dwaj chłopi tutejsi Błażej Adamus i Augustyn Kuś walczyli w legionach Dąbrowskiego i w roku 1812 odbyli wyprawę na Moskwę, gdzie dostali się do niewoli rosyjskiej, a do wsi rodzinnej wrócili dopiero w roku 1817. Mimo, iż Rzeczpospolitą Krakowską zagarnęła Austria w roku 1846, nieznanym tu był typ cesarskiego chłopa.

Niemal w samym środku wsi stała chata ojca mojego. A ponieważ w tej chacie w zimie było ciepło, schodzili się sąsiedzi na pogwarkę. Byli to przeważnie flisacy. Rozmowa toczyła się nie tylko na tematy flisackie, ale historyczne i polityczne. Najstarszy ze sąsiadów Tomasz Kok opowiadał o regulicji warszawskiej w 1831 r. a mój ojciec i chrzestny Stanisław Dybek o „regulicji" krakowskiej w r. 1846, jak to już wówczas pańskie grunta mieli chłopom rozdawać, a panom zostawić tylko pałace i ogrody. Ale to Austria uniemożliwiła, bo „cysorz wloz do kraju" (tak chłopi nazywali zajęcie Krakowa przez Austriaków), a cysarskie „cwalizjery" (szwoleżerzy) przyjechały do wsi i uwięziły nauczyciela i dzierżawcę dworu. Kilku też z naszych sąsiadów było podczas powstania styczniowego na flisie i o potyczkach powstańców z Moskalami opowiadało.

Opowiadania te, to była pierwsza moja nauka historii zanim zacząłem chodzić do szkoły. Gdy już nauczyłem się czytać, pożyczałem ze szkolnej biblioteki książki przeważnie treści historycznej. Pierwszą historią Polski, którą ze skupieniem i uwagą dwukrotnie przeczytałem był „Pielgrzym w Dobromilu", drugą „Dzieje Polski" przez Mariana z nad Dniepru i „Wieczory pod lipą".

Gdy na podstawie przeczytanych książek treści historycznej zacząłem opowiadać ojcu o prześladowaniach Polaków przez Moskali, ten tak mi odpowiedział: „Ty chłopcze nie wiesz, kto jest większym naszym wrogiem, Prusak, czy Moskal, bo Moskal zrani, ale to się wnet zagoi, a Prusak odetnie kawałek palca, czy ręki, a te już nie odrosną". W taki to obrazowy sposób prosty chłopek wyjaśnił mi stosunek Prusaków do narodu polskiego. Także i naszym chłopom znane było przysłowie: „Póki świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem".

W roku 1890 (miałem wówczas 14 lat) zacząłem już czytać „Wieńca i Pszczółkę", pisma wydawane przez ks. Stojałowskiego i „Przyjaciela ludu" wydawanego przez Wysłoucha, a w dwa lata później socjalistyczny „Naprzód". Pism tych dostarczał mi kupiec z Czernichowa, Izydor Michno, bo w mojej wsi żaden wówczas chłop pism ludowych nie prenumerował. Podczas zimowych schadzek sąsiadów u mojego ojca, czytywałem na głos owe pisma i w ten sposób urabiałem w nich postępowe przekonania polityczne.

We wrześniu 1893 r. za staraniem mojego nauczyciela zostałem przyjęty do seminarium nauczycielskiego w Krakowie. Tu na zgromadzeniach robotniczych piorunował młody wówczas Ignacy Daszyński. Ja w tajemnicy przed kolegami uczęszczałem na te zgromadzenia, nauczyłem się Czerwony Sztandar śpiewać, ale w pochodzie nie brałem udziału, bojąc się, aby się któryś z kolegów o moim udziale w zgromadzeniach socjalistycznych się nie dowiedział i mnie nie zdradził, bo byłbym ze szkoły wydalony.

W roku szkolnym czytywałem tylko „Naprzód", którego mi w tej samej kamienicy mieszkający robociarz pożyczał. Tylko podczas wakacyj mogłem „Przyjaciela ludu" czytać, którego zaprenumerował mój sąsiad.

W seminarium przez trzy lata byłem pomocnikiem bibliotekarza, mogłem więc do czytania wybrać sobie dzieło jakie mi się podobało. Przeczytałem tedy „Dzieje Polski" Szujskiego i Bobrzyńskiego i „Szkice historyczne" Szajnochy. Wówczas też przeczytałem dzieło Staszica „Przestrogi dla Polski", które na mnie ogromne wrażenie wywarło i odtąd postanowiłem trud swego życia ludowi poświęcić.

19 lat miałem, gdy w 1895 r. zorganizowano Polskie Stronnictwo Ludowe i rozpisano wybory do sejmu galicyjskiego. Podczas wakacyj obrabiałem wyborców aby nie obszarnika, ale ludowca posłem wybrali. Spełniły się życzenia moje, bo posłem nie obszarnik Paszkowski, lecz chłop Wójcik z Wyciąż został wybrany. W dwa lata później w wyborach do austriackiego parlamentu czynnego udziału nie brałem, bo wybory wypadły w marcu, musiałem więc w mieście siedzieć i nauki pilnować. Wówczas to Daszyński na 29 tysięcy oddanych głosów otrzymał 22 tysiące głosów i został wybrany posłem.

My ludowcy szliśmy ręka w rękę z socjalistami. Zdawaliśmy sobie bowiem sprawę z tego, że większość robotników, to chłopscy synowie. Walka o wspólne ideały łączyła nas a nie dzieliła.

Franciszek Kuś

Wincenty Styś

ZAGADNIENIA MECHANIZACJI ROLNICTWA (II) *)

Artykułem W. Stysia redakcja „Wieś" otwiera dyskusję na temat podniesienia ustroju wsi polskiej na wyższy stopień rozwoju gospodarczego. Nie zakładamy, że stopniem tym ma być określona forma spółdzielczości produkcyjnej. Formy gospodarcze przyszłej wsi powstaną w dyskusjach fachowych i w praktyce życiowej. Tym bardziej zapraszamy do dyskusji ekonomistów, działaczy i pisarzy-korespondentów wiejskich. Jako pierwsi do głosu zapisali się Tadeusz Orlewicz i Jan Brodzki.

Przemiany ustrojowe mające na celu ułatwienie mchanizacji naszego rolnictwa nie mogą przekreślać, stanowiącego prywatną własność, rodzinnego gospodarstwa, które prócz pewnych wspomnianych powyżej wad posiada cały szereg zalet,

Jakie są te zalety? Oto przede wszystkim ten typ gospodarstwa dzięki swemu nierozerwalnemu związkowi z losami pracującej w nim rodziny posiada organiczną, prawie żywotność i odporność na wszelkie trudności i katastrofy. Łatwiej niż inne formy gospodarowania znosi kaprysy koniunktury i szybciej się podnosi z upadku spowodowanego wojną. Nie trzeba mu ani żmudnego i skomplikowanego planowania, ani zawiłej księgowości, ani sprawozdań statystycznych, ani rygorystycznej dyscypliny wśród pracowników. Członków rodziny nie trzeba dozorować przy pracy. Są oni tak dalece zainteresowani w rozkwicie gospodarstwa stanowiącego ich wspólną własność, że zawsze i wszędzie dokładają starań, by rozkwit ten zabezpieczyć. Osobisty interes, który ludność chłopska posiada w powodzeniu swych gospodarstw, jest skutecznym bodźcem zmuszającym ją do podejmowania największych wysiłków.

Nie brakuje u nas ludzi, którzy, uznając bez zastrzeżeń ten postulat, chcieliby chłopskie gospodarstwo dostosować do wymogów nowoczesnej techniki przez znaczne powiększenie jego rozmiarów. Zaopatrzeni we wzory niemieckie i skandynawskie uważają za ideał gospodarstwo o powierzchni od 30 ha w górę. Nie biorą oni jednak pod uwagę, że odwrotną stroną ustroju rolnego o tym typie jest powstawanie na wsi proletariatu. Chłop posiadający 30 ha ziemi nie może jej z reguły siłami swej rodziny obrobić. Musi zatrudnić kilku najemników. tj. przeciętnie biorąc jeszcze jedną rodzinę. Nie możemy na to zamykać oczu. Dobrobyt chłopa-właściciela jest tu okupiony upośledzeniem chłopa-wyrobnika. Ze społecznego punktu widzenia będzie niewątpliwie lepiej, jeśli na 30 ha ziemi zamiast pana i jego wasala będzie pracować dwu równe szanse mających gospodarzy, opierających się w zasadzie na pracy rodzinnej. Wzoru niemieckiego zatem także naśladować nie możemy.

Wychodząc z przedstawionych powyżej przesłanek autor niniejszego referatu przedstawia następującą koncepcję:

1) Ustrój wsi opiera się na pełnorolnych gospodarstwach rodzinnych. Są to gospodarstwa mające 10 ha użytków rolnych na ziemiach bardzo dobrych, 12 ha na ziemiach dobrych. 14 ha na ziemiach słabych, ponad 16 ha na ziemiach złych. W dalszym ciągu rozważań będzie brane pod uwagę w celu uproszczenia argumentacji tylko gospodarstwo o powierzchni 10 ha bardzo dobrej ziemi.

2) Odrzucona jest zasada osiedli fermowych. Uważa się za ideał wieś stosunkowo zwarcie zabudowaną, a to dla umożliwienia rozkwitu życia społecznego oraz łatwiejszego korzystania z wspólnych urządzeń gospodarczych (szosa, wodociąg, kanalizacja, prąd elektryczny itp.). Każde jednak gospodarstwo powinno mieć przy swych zabudowaniach przynajmniej 1 ha ziemi: na podwórze, sad, ogród warzywny. wybiegi dla młodych zwierząt itd.

3) We wsiach wielkich, liczących po kilkaset gospodarstw, można odstąpić od zasady zwartej zabudowy, tworząc szereg niezbyt od siebie odległych przysiółków, obejmujących po kilkadziesiąt gospodarstw, o ile warunki topograficzne nie stoją temu na przeszkodzie.

4) Niezależnie od sposobu zabudowy osiedla ogólna liczba gospodarstw dzieli się na zespoły, obejmujące nie więcej jak 30—40 gospodarzy. W wypadku zabudowy przysiółkowej zespoły powinny pokrywać się z przysiółkami.

5) Tym sposobem każdy z zespołów posiada co najwyżej 300—400 ha ziemi, czyli powierzchnię równą obszarowi dużego folwarku. Zespoły duże mogą być w razie potrzeby podzielone na podzespoły, czyli drużyny sąsiedzkie, liczące po 10—15 gospodarstw. Potrzeba ta zachodzi wówczas. gdy wspólne gospodarowanie w ramach całego zespołu powodowałoby z uwagi na kształt obwodnicy pól zbyt wielką odległość indywidualnych działek od zabudowań. Pola każdego zespołu i każdej drużyny powinny w miarę możności leżeć w jednej obwodnicy.

6) Przed rozplanowaniem układu gruntów ustala się dla każdej osady podstawowy płodozmian odpowiadający danej glebie i klimatowi oraz średnio pomyślnej koniunkturze.

7) Pola każdego zespołu (drużyny) dzieli się następnie na tyle równych niw, ile lat obejmuje płodozmian. Każda z niw otoczona jest ze wszystkich stron drogami polnymi lub miedzami.

8) Po wyznaczeniu położenia niw wytycza się w ich obrębie działki indywidualnych gospodarstw. Należy je w miarę możności tak wytyczać, by tworzyły nieprzerwany pas, biegnący przez wszystkie niwy. Tym sposobem postulat indywidualnego gospodarstwa w jednej obwodnicy mógłby zostać zrealizowany, Tam jednak, gdzie warunki topograficzne, lub glebowe, albo konfiguracja granic zespołu (drużyny) na to nie pozwalają, należy odważnie odrzucić ten postulat, przestrzegając w zamian zasady, by działki należące do jednego gospodarstwa nie były nadmiernie odległe od jego zabudowań i by były łatwo dostępne (zob. ryc. 3).

9) Działki indywidualnych gospodarstw oznaczone są trwałymi znakami granicznymi. umieszczonymi na ich rogach. Najlepiej używać do tego celu betonowych słupków, zaopatrzonych w numery porządkowe, odpowiadające numeracji gospodarstw. Słupki te są jedynymi znakami granicznymi indywidualnych działek. Miedz nie ma. Tym sposobem każda niwa jest dużym, kilkanaście do kilkadziesiąt ha obejmującym polem.

10) Istnieje przymus polowy w tym znaczeniu, że wszyscy posiadacze działek położonych w jednej niwie obowiązani są uprawiać równocześnie tę samą roślinę. Rodzaj roślin wynika w zasadzie z kolejności przyjętego płodozmianu.

11) Każde gospodarstwo nawozi indywidualnie swoje działki położone w niwach i zbiera z nich plony oddzielnie do swoich stodół. Uprawa mechaniczna, zasiew i zbiór dokonuje się przy pomocy maszyn, stanowiących własność spółdzielni mechanizacyjnej.

12) Wszystkie gospodarstwa kmiece mające grunt w niwach należą obowiązkowo do spółdzielni mechanizacyjnej. Spółdzielnia ta obejmująca całą wieś posiada różnego rodzaju maszyny w takiej ilości, by wykonać przynajmniej mechaniczną uprawę i zasiew na całym podległym sobie terenie. Pożądane jednak jest wyposażenie spółdzielni także w maszyny służące do zbioru.

13) Obowiązuje zasada, że całą orkę z wyjątkiem miejsc niedostępnych lub nadmiernie pochyłych wykonują traktory. Poruszają się one podczas orki w zasadzie wzdłuż dłuższego boku niwy, najczęściej w poprzek indywidualnych działek.. Natomiast zasiew dokonywany jest zawsze wzdłuż indywidualnych działek. Gdy siewnik dochodzi do granicznego słupka zamyka się odpowiedni lejek, by przez wypuszczenie jednego rzędu w siewie odtworzyć nieistniejącą stale miedzę. Zadanie to będzie łatwe szczególnie wówczas, gdy szerokość indywidualnych działek będzie równa wielokrotności zasięgu standartowego siewnika.

14) Wysiewane nasienie powinno być jednolite na całym obszarze niwy, zdezynfekowane i zabezpieczone przeciw szkodnikom. Kwalifikuje i przygotuje nasiona agronom społeczny, angażowany i opłacany przez spółdzielnię. Oprócz doboru nasion oraz nadzoru nad prawidłowością mechanicznej uprawy i siewu, agronom społeczny udzielać ma porad fachowych w przedmiocie indywidualnego karmienia krów mlecznych, oraz we wszystkich sprawach gospodarczych.

15) Spółdzielnia mechanizacyjna przedstawia swym członkom po dokonanym zasiewie rachunek za wykonane na ich rzecz prace. Rachunek opiera się na ścisłej kalkulacji kosztów własnych. w skład których wchodzi także praca agronoma.

16) Zarząd spółdzielni mianowany jest przez radę nadzorczą, wybraną większością głosów z pomiędzy członków, którzy odznaczyli się wybitnymi osiągnięciami w dziedzinie produkcji roślinnej lub hodowlanej. Agronom nie wchodzi w skład zarządu i jest tylko jego doradcą. Wszystkie jego propozycje dotyczące ogólnych spraw spółdzielni podlegają aprobacie zarządu i stają się prawomocne po uchwaleniu ich przez zarząd.

17) Gospodarstwa indywidualne przerzucają swą siłę roboczą, zaoszczędzoną na odcinku mechanicznej uprawy i zbiorów zbóż, na odcinek uprawy roślin przemysłowych: buraka cukrowego, ziemniaków, rzepaku, lnu i konopi oraz na odcinek hodowli.

18) Przewiduje się, że każde gospodarstwo kmiece będzie miało jednego silnego konia. Konie używane będą do transportu oraz do lżejszych robót polnych, jak podorywki, bronowanie, opielanie itp. Prace ręczne oraz prace sprzężajem wykonuje każdy gospodarz na własnych działkach.

19) Wszystkie działki indywidualne zostaną naniesione na mapy gruntowe i wpisane do ksiąg hipotecznych jako własność odnośnych gospodarzy. Mogą być przez nich sprzedawane, wydzierżawiane i obciążone długami hipotecznymi w ramach ogólnie obowiązujących przepisów.

20) Wszystkie gospodarstwa kmiece powinny mieć w zasadzie jednakowe rozmiary. Odchylenia od tej zasady byłyby dopuszczalne w celu stworzenia ekwiwalentu dla gospodarzy, którzy otrzymują działki na glebie gorszej, albo lepszej niż przeciętna.

21) Prócz gospodarstw kmiecych istnieje na wsi pewna ilość gospodarstw zagrodniczych o powierzchni 2—3 ha, zależnie od jakości gruntów. Zagrody te przeznaczone dla potrzebnych dla wsi rzemieślników stanowią własność gromady i są wydzierżawione rzemieślnikom na długoletnie terminy. Grunty zagrodników leżą poza obrębem niw podlegających płodozmianowi.

Przedstawiony w powyższych punktach system jest niejako próbą rozwiązania kwadratury koła. Chodzi tu o pogodzenie zasady prywatnej własności i indywidualnej gospodarki z wymogami nowoczesnej techniki. Autor koncepcji przypuszcza, że zmodernizowanie na tej drodze rodzinnego gospodarstwa dodałoby mu nowych sił i przedłużyłoby jego rację bytu na długo, może na całe stulecia.

By dokonać modernizacji poświęca się tu istniejące od wieków miedze oraz ogranicza się swobodę indywidualnego planowania. Na pierwsze miejsce wysuwa się planowanie zbiorowe. Zarząd spółdzielni zapowiada np., że zgodnie z kolejnością płodozmianu należy na określoną niwę wywieść nawóz pod pszenicę, po czym ruszają traktory z pługami i bronami i przyorują go w szybkim tempie. Indywidualni gospodarze bronują końmi swe działki, jeżeli uważają, że przyczepione do pługów traktorowych brony nie wykonały zadania z dostateczną dokładnością. Następnie rusza spółdzielcza drużyna najlepszych siewców z wielorzędowymi siewnikami i obsiewa całą niwę jednolitym wyselekcjonowanym i zdezynfekowanym ziarnem. Gdy zboże wzejdzie, granice indywidualnych działek uwidocznią się wyraźnie. Plewienie ostu i innych chwastów, podsiewanie na wiosnę saletrą i zwalczanie szkodników będzie również dziełem indywidualnego rolnika. Choć nie orał on, ani nie siał swego zboża, wielkość plonu zależeć będzie w wysokim stopniu od jego indywidualnych zabiegów. Jeżeli przechowywał on lepiej swój obornik. jeżeli go dał więcej. jeżeli nie żałował nawozów sztucznych, gdy użycie ich było technicznie i ekonomicznie uzasadnione, to zbiory jego będą wielkie, większe niż zbiory jego sąsiadów. Każda niwa indywidualna nawożona i pielęgnowana będzie wielkim polem doświadczalnym, gdyż mimo identycznej gleby, identycznej mechanicznej uprawy i identycznego nasienia plony będą na poszczególnych działkach różne. Widać to będzie na pierwszy rzut oka. Mniej więc fortunni rolnicy zastanowią się nad przyczynami swego niepowodzenia i postarają się je usunąć w roku następnym. Gdy przyjdzie żniwo, każdy kto będzie miał własne maszyny żniwne dokona go sam, pozostałym dopomoże spółdzielnia mechanizacyjna swymi żniwiarkami-wiązałkami za zwrotem kosztów. Zakłada się, że zarząd spółdzielni będzie bardzo uczciwie obliczał stawki za robotę, gdyż członkowie jego, jako korzystający z usług spółdzielni rolnicy. będą sami zainteresowani w tym, by nie płacić ani za wiele, ani za mało. Po złożeniu snopów w kopki staranny gospodarz dokona zaraz na swej działce podorywki koniem, nie czekając, by mu to nakazywano. Kto tego nie zrobi, poniesie sam konsekwencje, gdyż pole jego w następnym roku będzie bardziej zachwaszczone; tak to mimo spółdzielczej uprawy, rola indywidualnego gospodarza będzie nadal ważna nawet w dziedzinie produkcji zbóż, gdzie będzie on miał stosunkowo najmniej do powiedzenia. Tym większe będzie jego znaczenie w zakresie uprawy okopowych oraz lnu i rzepaku, gdyż przy tych roślinach praca ręczna gra większą rolę. Zaś wyłącznym dysponentem będzie on nadal w zakresie produkcji warzyw, owoców oraz całej hodowli.

Koncepcja ta przewiduje pewne ograniczenie swobody ruchów i uprawnień indywidualnego gospodarza, lecz wynagradza to oddaniem kierownictwa produkcji roślinnej w ręce najtęższych rolników gromady, wspartych radą wykształconego fachowo agronoma. Oparty na naukowych podstawach płodozmian, dobra mechaniczna uprawa i doborowe ziarno siewne spowodują wzrost produkcji roślinnej przynajmniej o 30 proc., zaś zaoszczędzona praca skierowana do produkcji roślin przemysłowych i hodowli może podwoić korzyści z gospodarki. Dla takich korzyści warto będzie chłopu poddać się pewnym ograniczeniom.

Przeprowadźmy porównanie między radzieckim kołchozem a proponowaną tutaj koncepcją. Różnice są ogromne:

1) Kołchoz opiera się na społecznej własności ziemi, spółdzielnia mechanizacyjna nie narusza prywatnej własności.

2) Kołchoz pochłania indywidualne gospodarstwa, spółdzielnia mechanizacyjna pozostawia je i służy im.

3) Kołchoz jest jednostką finansowo-gospodarczą, produkuje, pokrywa koszty, oddaje świadczenia rzeczowe, płaci podatki itp.

Według przedstawionej tu koncepcji wszystko to należy do indywidualnych gospodarstw. Spółdzielnia mechanizacyjna nie prowadzi najmniejszego nawet rolnego gospodarstwa, stanowiąc rodzaj spółdzielczej stacji traktowo-maszynowej.

4) Drobne działki ziemi posiadane indywidualnie przez kołchoźników mają w porównaniu z wielkością kolektywnej gospodarki nie wielkie znaczenie. We wsi zorganizowanej według proponowanych tu zasad cała produkcja i jej gospodarcze wykorzystywanie byłoby rzeczą indywidualnych gospodarstw.

Jakie zarzuty mogą być podniesione przeciw tym zasadom?

1) Będą tacy, którzy powiedzą, że system ów, choćby był dobry, nie da się zastosować wszędzie, gdyż wymaga jednolitej jakości gleby, tymczasem w wielu wsiach mamy do czynienia z prawdziwą mozaiką gleb. Zarzut to słuszny. Lecz większość wiosek naszego kraju ma jednolitą glebę, bądź rędzinną, bądź lessową, bądź piaszczystą. Gdyby ten system zastosowano z powodzeniem wszędzie tam, gdzie można go bez trudu zastosować, lwia część stojącego przed nami zadania byłaby wykonana.

2) Będą inni, którzy zarzucą, że sztywny płodozmian nie da się utrzymać, gdyż rodzaje i rozmiary kultur zależą od koniunktury, a w takim razie liczba i wielkość pól nie będzie odpowiadać potrzebom. Na to wypadnie odpowiedzieć, że podział na niwy stanowi pewną ramę, która może być wypełniona różną treścią zależnie od potrzeby. O odchyleniach od podstawowego płodozmianu zadecyduje zarząd na wniosek agronoma. Najważniejszą rzeczą jest nie to, jakie rośliny będą zasiane, gdyż zainteresowani rolnicy dokonają zawsze właściwego wyboru, lecz to, że traktory i inne maszyny będą się mogły poruszać swobodnie na wielkich powierzchniach, że mechaniczna uprawa będzie dobra i że wiele pracy ludzkiej zostanie zaoszczędzone.

3) Inni znów będą twierdzić, że koncepcja ta prowadzi do znacznego zwiększenia średniej odległości gruntów od zabudowań. Zarzut ten tylko wtedy byłby słuszny, gdyby alternatywą była rozprószona osada fermowa. Porównanie bowiem proponowanej tu wsi spółdzielczej z jakąkolwiek inną wsią o zwartej zabudowie pod względem odległości gruntów od budynków nie wypadnie na niekorzyść naszej wsi.

4) Jeszcze inni będą utrzymywać, że dopuszczając rozproszone położenie indywidualnych działek w poszczególnych niwach koncepcja ta spowoduje straty czasu przy przechodzeniu z działki na działkę w ciągu dnia, dla wykonania różnych robót. Na to odpowiemy, że dzieląc obszar wsi na zespoły i drużyny bardzo znacznie redukujemy to niebezpieczeństwo. Niwy nie będą zbyt wielkie. Wobec tego odległości poszczególnych działek od siebie w wypadkach, gdy nie będą one leżeć w jednym nieprzerwanym pasie nie będą duże. Czas zaś utracony przy robociźnie ręcznej odzyskany będzie z nadwyżką przy mechanicznej uprawie, gdyż traktory i maszyny będą od razu obrabiać większą powierzchnię, nie muszą wędrować co kilka godzin z miejsca na miejsce.

5) Niektórzy będą ubolewać nad ograniczeniem „prywatnej inicjatywy" poszczególnych gospodarzy. Jak widzieliśmy wyżej ograniczenia te są niewielkie i dotyczą jedynie miejsca i kolejności zasiewów. Swoboda inicjatywy pod tym względem była właśnie szkodliwa, gdyż mało kto spośród chłopów ma pojęcie o prawidłowym płodozmianie. Wobec tego wyjdzie im tylko na dobre. jeśli poddadzą się wskazaniom planu opartego na zasadach nauki. Zresztą najlepsi gospodarze wchodzący w skład zarządu będą mieli szerokie pole do rozwijania inicjatywy. Natomiast przymus polowy podciągnie pozostałych gospodarzy, mających słabsze kwalifikacje, do ich poziomu.

6) Nie zbraknie i takich, którzy wbrew oczywistym i wielkim różnicom będą w spółdzielni mechanizacyjnej widzieli zamaskowany kołchoz. „Strach ma wielkie oczy" — powiada przysłowie, zaś psychoza antykołchozowa jest dość rozpowszechniona. Objętych nią trudno przekonywać. Natomiast zdolnym do krytycznego myślenia obywatelom można powiedzieć, że gdyby większość naszych wsi utworzyła spółdzielnie mechanizacyjne i scaliła swe pola w wielkie niwy, nowa rzeczywistość gospodarcza rozładowałaby swoimi walorami dotąd rozwijającą się psychozę antykolektywną. Z tego etapu strach przestanie mieć „wielkie oczy".

7) Jeżeli wymienione powyżej zarzuty zostaną odparte, to krytycy zawołają zgodnym chórem: tak, to wszystko wygląda bardzo pięknie w teorii, ale nie da się zrealizować w praktyce. Chłopi nasi bowiem dobrowolnie nie zgodzą się na likwidację miedz. Nie zezwolą na to, by spółdzielcze traktory orały w poprzek ich gruntów i nie zechcą poddać się zasadzie jednolitego zasiewu na całej niwie.

Autor tego artykułu jest odmiennego zdania. Uważa on, że chłopi przyjmą jego koncepcję, jeśli się im udowodni na pierwszym udanym przykładzie, że jest ona dla nich korzystna. Przed pierwszą wojną światową założenie spółdzielni mleczarskiej na wsi i skłonienie zabobonnych gospodyń do dostarczania do niej mleka było najtrudniejszym zadaniem, w obliczu którego mógł stanąć działacz wiejski. Po upływie 20 lat prawie każda wieś chciała mieć własną spółdzielnię mleczarską i związek rewizyjny dążący słusznie do zakładania wielkich mleczarń rejonowych miał nie mało kłopotów z tłumaczeniem chłopom, że dążenia ich do posiadania własnych gromadzkich mleczarń spółdzielczych nie mają sensu. Tak zmieniła się postawa ludności wiejskiej w odniesieniu do spółdzielczości przetwórczej, gdy przekonano się, że przynosi ona swym członkom duże korzyści. Dlaczego spółdzielnia mechanizacyjna nie miałaby z czasem zyskać podobnej popularności? Przecież idea niwowej gospodarki nie jest pomysłem zrodzonym przy zielonym stoliku. Gospodarka niwowa panowała w całej Europie przez długie stulecia w okresie trójpolówki i zanikła dopiero w drugiej połowie XIX wieku w związku z przejściem do płodozmianu. —

Tam, gdzie jak na Podhalu trójpolówka jeszcze panuje, gospodarka niwowa utrzymała się po dziś dzień. Wszyscy sieją w jednej niwie żyto, w drugiej owies i ziemniaki, podczas gdy trzecia leży odłogiem i używana jest jako pastwisko dla owiec i bydła. Właśnie dla pastwiska przyjęła wieś zasadę niwowej gospodarki przed wiekami. wygodniej bowiem było paść zwierzęta na odłogu obejmującym w wielkich wsiach po kilkaset ha, niż na małych skrawkach ziemi, położonych wśród uprawnych pól, jak się to dzisiaj robi.

*) Pierwsza część artykułu: „Wieś" Nr 34-35.

Autor przedstawionej tu koncepcji proponuje nawrót do gospodarki niwowej, tym razem nie dla wspólnego wypasania bydła, lecz dla wspólnego korzystania z nowoczesnych maszyn rolniczych. Byłby to nawrót o charakterze spiralnym, a więc nie w to samo miejsce, z którego się przed 100 laty wyszło, lecz do miejsca położonego nad nim, z uwagi na wyższy poziom techniki, intensywności i wydajności rolnictwa.

Gdzie należy dokonać pierwszej próby? Należy to zrobić tam, gdzie istnieją najkorzystniejsze warunki dla jej powodzenia. Jeżeli próba się uda, można ją będzie ponowić w trudniejszych warunkach.

Najlepszym terenem próbnym są Ziemie Odzyskane. Koncepcja opiera się na założeniu niedostatku siły roboczej w rolnictwie, a właśnie na tych ziemiach brak ten istnieje. Mamy tu mianowicie tylko około 2 milionów ludzi żyjących z rolnictwa (czynnych i biernych), gdy według godnych zaufania obliczeń powinno ich być przynajmniej 3 miliony [4]). Wobec tego brakuje tutaj rąk do pracy i potrzeba mechanizacji jest szczególnie silnie odczuwana. Osadzając młodych gospodarzy ,mających dzieci jeszcze przeważnie niezdolne do pracy, na gospodarstwach nie mniejszych od 10 ha dobrej ziemi i otwierając dla nich możność intensywnej gospodarki (20 proc. roli pod pszenicą, 20 proc. pod okopowymi, 10 proc. pod oleistymi i włóknistymi, pełne nasycenie inwentarzem żywym) wywołamy z ich strony gwałtowne żądanie mechanizacji. Ludzie ci gotowi będą przyjąć proponowaną im formę wsi niwowej, albowiem przejęcie uprawy pól i zasiewu przez spółdzielnię mechanizacyjną zdejmie z nich część ciężaru gospodarki.

Założona osada spółdzielcza powinna być poddana stałej i bardzo starannej obserwacji przez Państwowy Instytut Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach. Zarówno rachunkowość spółdzielni mechanizacyjnej, jak i rachunki indywidualnych gospodarstw powinny być poddane starannej analizie. Dopiero w świetle jej wyników można będzie wydać ostateczny wyrok o tym, czy koncepcja spółdzielni mechanizacyjnej i gospodarki niwowej zdała egzamin.

Pomyślne wyniki mogłyby mieć historyczne znaczenie w rozwoju naszego rolnictwa. Przykład pierwszej spółdzielni znalazłby zapewne wnet naśladowców, przede wszystkim na Ziemiach Odzyskanych, gdzie zawsze będzie trudniej o siłę roboczą, a z czasem także na Ziemiach Macierzystych. .Na tej drodze doszlibyśmy stopniowo do ustroju rolnego, w którym spółdzielczość grałaby o wiele większą rolę niż obecnie.

Zalety takiego ustroju byłyby następujące:

1) Wszelkie hamulce mechanizacji rolnictwa zostałyby usunięte.

2) Siła robocza potrzebna w rolnictwie zostałaby znacznie zredukowana, co pozwoliłoby na skierowanie nadmiaru rąk roboczych do innych zawodów.

3) Wskutek racjonalnego we wszystkich gospodarstwach płodozmianu, oraz dobrej mechanicznej uprawy produkcja roślinna zostałaby znacznie podniesiona.

4) Dzięki wzrostowi produkcji roślinnej na 1 ha można by zwiększyć ilość inwentarza żywego.

5) Ilość koni na 100 ha użytków rolnych mogłaby być zredukowana na rzecz bydła rogatego.

6) Wysiew jednolitego doborowego i zdezynfekowanego nasienia na wielkich obszarach, niezależnie od dodatniego wpływu na wielkość plonu, ułatwiałby kontynuowanie gatunku roślin, co zwłaszcza w odniesieniu do żyta ma duże znaczenie.

7) Dzięki likwidacji miedz walka z chwastami i szkodnikami stałaby się łatwiejsza.

8) Ster produkcji roślinnej całej wsi mógłby zostać oddany w ręce najświatlejszych gospodarzy, ewentualnie tych, którzy ukończyli szkoły rolnicze, lub są wybitnymi samoukami praktykami.

9) Obecność wykształconych agronomów społecznych w każdej osadzie spółdzielczej byłaby rękojmią wykorzystania przez wieś najnowszych osiągnięć techniki rolnej.

10) W razie zaprowadzenia takiego ustroju w całym kraju dokładne statystyczne ujęcie rozmiarów produkcji rolnej nie nastręczałoby żadnej trudności, wobec faktu dokładnej znajomości powierzchni każdej z nich tak w spółdzielni, jak w katastrze gruntowym i powiatowym biurze rolnym. Dla dokładności oszacowania wysokości plonów wystarczyłoby dokonać pewnej ilości omłotów próbnych.

11) Planowanie odgórne produkcji rolnej byłoby w tym wypadku również ułatwione. Zamiast mieć do czynienia z kilku milionami indywidualnych gospodarstw urzędy planowania ograniczyłyby się do kontaktu z zarządami kilkudziesięciu tysięcy spółdzielni mechanizacyjnych. Kontrola wykonania wydanych przez nie dyrektyw byłaby przy gospodarce niwowej bardzo łatwa.

12) Daleko idąca mechanizacja rolnictwa stworzyłaby mocny fundament ekonomiczny dla przemysłu zbrojeniowego. Gdyby wszystkie role w Polsce były orane traktorami, potrzebowaliśmy do tego celu kilkaset tysięcy traktorów. Coroczna ich amortyzacja musiałaby w tym wypadku wynosić kilkadziesiąt tysięcy sztuk. Dałoby to zajęcie kilku wielkim fabrykom wytwarzającym wspólnie kilkaset traktorów dziennie. Posiadanie tych fabryk i około tysiąca warsztatów mechanicznych remontujących motory, posiadanie kilkunastu tysięcy mechaników i kilkuset tysięcy traktorzystów ułatwiłoby nam znacznie wystawianie licznych dywizji pancernych na wypadek wojny.

Lekceważyliśmy postęp techniczny w przeszłości i zapłaciliśmy za to straszliwą cenę. Bolesna lekcja, której udzieliła nam historia, nie powinna pójść w las. Nie wolno nam na przyszłość stać pod względem technicznym w tyle za naszymi sąsiadami, choćby nas to miało wiele kosztować. Zgodnie z tym także nasz chłop nie może zostać na długą metę przy swych średniowiecznych narzędziach pracy: sierpach, kosach, grabiach, cepach i lekkim zaprzężonym w jednego konika pługu. Gdyby wszystko miało zostać po staremu w imię naszego przywiązania do tradycji, stalibyśmy się anachronizmem w Europie. Niepodległość nasza byłaby wówczas złudzeniem. Do tego nie wolno nam dopuścić.

Wincenty Styś

[4]) Za czasów niemieckich było 2,5 mil. ludności rolniczej na Ziemiach Odzyskanych. Parcelacja folwarków i gospodarstw wielkochłopskich przeprowadzona przez władze polskie zwiększyła zapotrzebowanie na ręce robocze.

Lech Budrecki

Karta z dziejów polskiej humanistyki



Stanisław Tarnowski

W latach 70 minionego wieku, kiedy to w Warszawie wspominano jeszcze czas powstania, kiedy to na terenie Galicji działała silna grupa Stańczyków, wśród których odkrywano nazwiska najwybitniejszych i najbardziej nobliwych obywateli Krakowa, docierają do Polski pierwsze egzemplarze dzieł Bukkle'a i Hipolita Taine'a. Studenci, młodzi dziennikarze, początkujący literaci czytali te książki z rzadkim entuzjazmem i podziwem, widzieli w nich biblię swego pokolenia. A dziwna była to epoka, bardzo ważna dla dziejów Polski i bardzo rewolucyjna. Właśnie w Królestwie zniesiono pańszczyznę. Tak, o tym mówiono najwięcej. Ale nie tylko tu możemy się dopatrywać początków wielkich przemian społecznych, które wkrótce potem ogarnęły cały kraj, a ściśle mówiąc całe „Priwislenie". W małym miasteczku, Łodzi, położonym nieopodal Warszawy, uważanym powszechnie za jedną z podlejszych dziur prowincjonalnych zaczynają wyrastać fabryki. W pobliskich Pabianicach, będących jeszcze wioską powstają zakłady Krusche - Ender. Coraz więcej słyszymy nazwisk ściągających do Polski zręcznych kapitanów przemysłu. Brzmią one cudzoziemsko, zazwyczaj z niemiecka. W kraju zapóźnionym gospodarczo, kupcy i fabrykańci z Prus szukają możliwości zrobienia wielkich fortun. Wokulski był wówczas zjawiskiem równie rzadkim, jak i Jan Korkowicz: Częstszy był mały sklepikarz Mincel i wielki producent Scheibler. W latach następnych, kiedy to usłyszymy o niespodziewanym, a olśniewającym rozwoju Warszawskiego Banku Handlowego, o wzrastających obrotach Banku Dyskontowego, powstają prace Piotra Chmielowskiego i nieco później Bronisława Chlebowskiego. To byli nowi naukowcy z najświeższym stemplem uniwersyteckim Jaka patronowała im tradycja, do kogo z żyjących luminarzy nawiązywali, choćby w czasie najostrzejszych walk z Tarnowskim i jego uczniami? Do nikogo z pośród badaczy polskich. Wyższe wykształcenie zdobywali przeważnie na uniwersytetach niemieckich Lipsk, oto miasto, do którego pielgrzymowali polscy studenci. Przykład dał im Ochorowicz. Jeździli słuchać wykładów Wilhelma Wundt'ae, który potwierdzał wówczas swymi psychologicznymi badaniami metodę Taine'a. Z Niemiec przywoziło się wtedy dokładną znajomość pozywityzmu, grube tomy Spencera i Milla, przekładane wkrótce na polski.

Myli się bardzo poważnie ten, kto przypuszcza, że kariera reprezentantów naturalistycznej koncepcji kultury, znanych dziś nazwisk w polskiej nauce i literaturze, była łatwa. Nie szybko objęli katedry (Chmielowski doczekał się jej dopiero na rok przed śmiercią). Parali się publicystyką, angażując się jawnie przy obozie wojującego pozytywizmu, wspierali swymi badaniami, błyskotliwe sformułowania Świętochowskiego. Ich awans, awans inteligentów, pochodzenia szlacheckiego, żyjących z pracy zawodowej, nie był sprawą prostą. W hierarchii zawodowej trudno było posunąć się naprzód, tym bardziej, że twierdzenie, iż twórczość pisarska uwarunkowana jest czynnikami biologicznymi, antropologicznymi, geograficznymi, wreszcie socjalnymi, budziła liczne sprzeciwy. Atakował je świetny retoryk i autorytet całej Galicji Tarnowski. Cóż reprezentował Piotr Chmielowski, a później Windakiewicz, skoro natrafiali aż na tak silny sprzeciw. Ostrożne wydanie pozytywizmu, w którym patriotyzm i cenne uczucia moralne (mniej zasług położył tu Windakiewicz) przesądzały o wartości dzieła. Zawartą w tym była filozofia progresywizmu. Ujawniają ją jednak dopiero wówczas, gdy zaczęto mierzyć utwory ich przydatnością w pracy organicznej. W języku pozornie tylko mówiącym o literaturze, w dziełach rzekomo odległych od praw społecznych, rozgrywała się walka o rolę i znaczenie sił mieszczańskich. Rzecznikami rozwoju przemysłu, stronnikami nowych właścicieli fabryk i banku, okazali się właśnie ci wszyscy, którzy idąc śladami spencerowskiej socjologii uważali społeczeństwo za organizm podobny do zwierzęcego, rozwijający się jak dotychczas najzupełniej prawidłowo. Pochwalony został Wokulski, laur otrzymali Połoniecki i Korkowicz. Nauki humanistyczne nie miały bowiem nigdy azylu. Były zastosowaniem do materiału empirycznego systemów filozoficznych. A ten, który patronował Chmielowskiemu i Chlebowskiemu, który opanowywał zwolna uniwersytety, mówił o liberalnej wolności i o nieskończonych możliwościach rozwojowych, w ramach istniejącego już układu gospodarczo-społecznego. Comte wierzył w realizację kapitalistycznego raju na ziemi — w epokę pozytywną Jego proroctwa zostały i tkwią w poważnych szkicach historyczno - literackich np. w analizie dzieł Kraszewskiego.



Piotr Chmielowski
(Według rysunku Wł. Podkowińskiego.)

Lata 90 przynoszą specjalną atmosferę. Mają już inny posmak. Sytuacja ulega poważnej przemianie. Życie kulturalne staje się jak za czasów Tarnowskiego domeną Galicji, a inteligencja polska wyraźnie wkracza w nową epokę, zapoczątkowaną rozczarowaniami naszych, dotychczasowych bohaterów. Świeża produkcja literacka jest zupełnie pozytywistycznym profesorom obca, w lwowskich i krakowskich kawiarniach zbierają się młodzi ludzie, niechlujnie ubrani, noszący za to nieodzowne brody, przywołujący nowe książki i nowe nazwiska. Oni to powoli stają bardziej atrakcyjnie od uniwersyteckich sław, na nich zresztą uczyć się będzie następne pokolenie, które zapomni o zasługach Chmielowskiego wielkości Taine'a. „Historia literatury angielskiej", przestała budzić już zachwyt. Przybyszewski na widok dzieł Renana wybuchał głośnym śmiechem. Irzykowski otaczał się niemieckimi pracami z zakresu estetyki i filozofii, skandował nazwisko Holcapfla, Brzozowski zaś odchodząc od socjalizmu, przywoływał cytaty z nieznanych jeszcze w Polsce prac Jerzego Sorela. Na uniwersytetach za to panował niczem niezmącony pokój Polemiki krytyków, pamflety wymierzone w metodykę historii literatury, nie potrafiły zakłócić starych, pięknych sposobów pracy seminaryjnej, gdzie to bez trudu stwierdzano, że „Dziady" są wynikiem miłości Mickiewicza do Maryli, a „Kordian" narodził się z „Ducha zawiści". Pisał swoje dzieła profesor Tretiak, a coraz większe uznanie zyskiwał profesor Kallenbach Publicyści literaccy wyprzedzili ich co najmniej o 20 lat w percepcji i w przyswojeniu tych wielkich ewolucji intelektualnych, jakie dokonały się właśnie wówczas na Zachodzie. Tam epoka stałych dochodów giełdy, fabryk fabryczek, drobnych producentów została zakończona Przy równoczesnym rozwoju świadomości klasowej proletariatu, rodził się imperializm, wciągając w orbitę swego systemu nawet Polskę Koniec kapitału przemysłowego, rozczarowanie inteligencji z tym związane były właściwymi przyczynami przerwania czy może lepiej zahamowania przemożnych wpływów Chmielowskiego i Tarnowskiego. Urwijmy w miejscu tym opowiadanie, gdyż zmienią się bohaterowie, a mały skok o kilkanaście lat ukaże nam w rozgrywce nowych badaczy. Wrócili oni z niemieckich uniwersytetów, zdobyli wielką erudycję w zakresie bieżącej filozofii, biurka mieli zastawione pracami Bergsona, Husserla, Schellera. W 2 lata po majowym przewrocie, prof. Roman Ingarden w swych wykładach rozpoczął walkę z psychologizmem na terenie badań historyczno - literackich. To był krok najodważniejszy. Przed tym już odrzucano coraz częściej Taine'owskie determinanty, wyjaśniano zaś dzieło autonomicznymi przeżyciami duchowymi. Nieco później prof. Zygmunt Łempicki zajmował się stylem, jako wyrazem struktury psychicznej, cytował egzystencjonalistów. Gdzie szukać będziemy przyczyn tego przełomu w latach: niepodległości, kultu dla legionów i Piłsudskiego? W ogólnych metamorfozach, których świadkami była Francja i Niemcy i Anglia. Przemianom, obyczajowym i społecznym, przejściom do nowych form życia mieszczańskiego towarzyszyła fenomenologia, intuicjonizm, pragmatyzm, dziesiątki systemów metafizycznych „wyrażających w swych konwencjach poznawczych protest przeciw ówczesnej sytuacji. Przypomnijmy przez chwilę nazwiska, którymi szermowano: niemiecki filozof Edmunt Husserl, francuski historyk chemii i teoretyk nauki Emil Meyerson, wreszcie najstarszy z nich, obdarzony licznymi godnościami naukowymi Henryk Bergson Czy jednak — zapytać się może tu każdy — tradycja to zwyciężyła zupełnie? Oczywiście, że nie. Sukces jej był tylko częściowy. Ale musiał być takim Ta sytuacja, w wyniku której na Zachodzie zwyciężyło „Idealistyczne" (wybaczcie uproszczenie) literaturoznastwo, została u nas jedynie częściowo powtórzona. Przypomnijcie tylko Warszawę 30 lat, poetów po „kawiarniach", „Oazę", „Wiadomości Literackie" pismo, które dochodziło na prowincję z wierszami Tuwima i Slonimskiego, właściciela wielkich dóbr i bank Steinnesa. Nic więc dziwnego, że w tym położeniu przetrwał na uczniowskich ławkach Chrzanowski, a ogół studentów czytywał nocami olbrzymie tomy monografii Kallenbacha. Psychologizm trwał jeszcze w tradycji wielu profesorów, ale po nagłym odstępstwie Kridla, po coraz wyraźniejszej zdradzie asystentów i najmłodszych adeptów literatury, można było zobaczyć finał. Przyjrzyjmy się średniemu pokoleniu naukowców. Kto spośród nich nie wyrósł na anty-pozywistycznym kryzysie, kto z nich nie przeżywał też „Wstępu do socjologii" Znanieckiego, lub Ingardena. Nowy, formalistyczny typ badań zaczynał się dopiero, a przecież miał się skończyć zaraz potem w latach powojennych, które zniszczyły bazę, na jakiej mógł się oprzeć.



Ignacy Chrzanowski



Stanisław Lenc: Portret Józefa Kallenbacha

Dyzma Gałaj

22 SPADKOBIERCÓW!

Dowiedziałem się, że w miejscowości Łękińsko dawni fornale prowadzą kolektywną gospodarkę, a ponieważ znałem już szereg spółdzielni parcelacyjno-osadniczych na Ziemiach Odzyskanych, gospodarujących również wspólnie, więc chciałem zorientować się w różnicach, które powinny istnieć choćby z tego względu, że tamta akcja była zorganizowana celowo i wspomagana przez Państwo, ta natomiast była, jeśli tak rzec można, spontaniczna.

W poniedziałek dobrnąłem do Łękińska. Dzień był ciepły, łagodnie słonczeny. Nadawał się jako oprawa do napisania przyjemnego opowiadania dla tęskniących za latem i wiejską ornamentyką. Wieś — stara parcela w kilku koloniach. Dużo domów z cegły pod blachą lub dachówką. W środku kościół, niedaleko szkoła i dwa sklepiki. Podobno jest i spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej, ale widocznie nie dorównuje ważnością kościołowi, szkole i sklepikom, bo umieszczona jest w dość głębokim kącie. Przez wieś idzie szosa. Ksiądz ma duży sad, ale nie jest on we wsi jedynym. Pod przydrożną ulęgałką dzieci pośpiesznie zbierały mały, cierpki owoc. Jest to owoc wiejskiej biedoty.

W prawo, tuż za wsią, stoją podworskie zabudowania. Wchodzi się na ich teren przez specjalną bramę, będącą jednocześnie poddaszem kuźni. Właśnie tam zastałem chyba z ośmiu mężczyzn. Ich wyczekujące zaciekawienie i soczysty dźwięk młotów. Tam zapytałem o nauczyciela, natychmiast orientując się, że pytam prawdopodobnie głupio. Czujność ich i ostrożność jednak nie wzrosła, gdyż, jak się później okazało, miejscowy pedagog nie miał najgorszej opinii. Żeby nie komplikować sprawy wyjaśniłem zwyczajnie swój przyjazd. Jak wam się gospodaruje w tej „wspólnocie"? — spytałem na zakończenie wyjaśnienia.

Odpowiedzi udzielali bez pośpiechu. Każdy z nich coś tam powiedział. Jedni odchodzili spod kuźni, drudzy przychodzili. Czarny kowal wtrącał swoje trzy grosze między jedną i drugą białością żelaza w palenisku. Po wielkim podwórzu kręciły się trochę podejrzliwe kobiety i kaczki. W południe wróciły z pola cztery pary koni. Jakiś chudy starzec urągał hałaśliwie kobietom, które niedbale zbierały zieloną mieszankę dla bydła. Trochę wyczekująco i bez życzliwości czekali na dalsze moje pytania, z którymi się zresztą nie śpieszyłem. W międzyczasie zarejestrowałem zupełną inność postawy u nich i np. u gospodarzy z tzw. „starej wsi". Dla chłopów jest się w takim wypadku „panem", dla tych zaś „kimś — czort wi kim?"...

Ku mojemu zadowoleniu zostałem wreszcie sam na sam z kowalem. Dość obojętnie tłumaczył mi mechanizm wielkiej lokomobili oczekującej na reperację dla gminnego ośrodka Zw. Samopomocy Chłopskiej. Jak mogłem tak udawałem, że rozumiem. Zaproponował mi później obejrzeć gospodarstwa. Zgoda.

Oglądamy. Długa obora, 44 krowy, 12 koni. Chlewnia i hodowlana rozmaitość. Są tam maciory, prosięta i opasy. Nad pustym budynkiem smaruje się smołą dach. Kowal śmieje się ostrzegawczo — zapalże sobie, Antoś, papierosa na tym dachu. Pod stodołą stoi nowiutki siewnik, pługi, kultywatory, brony i wozy. Wielka stodoła zawalona pszenicą. Wycieramy w dłoni kłos, patrząc na żółte ziarno. Dołączył się do nas jeden z gospodarzy, pobrzękując kluczami od śpichrza. Widzimy w nim trochę zeszłorocznego zboża. Obok żółcieje pierwszy omłot z obecnego sprzętu. Łazimy po kątach. Obydwaj rozgadali się. Mają chęć na gospodarskie przechwałki. Tak samo, jak u normalnych chłopów — myślę. Wyszliśmy na zalany słońcem kwadrat podwórza. Z czworaków zbliżał się powoli trzeci ciekawy. Ano, jego wola.

Idziemy, rozmawiając, na obiad. Mam go jeść u B. To dawny rządca barona Kronenberga, byłego właściciela tego majątku. W czasie wojny musiał uciekać przed Niemcami, ale po wojnie wrócił, wziął razem z fornalami działkę i wspólnie dorabia się lepszej doli. Wprawdzie nie pracuje zbyt ciężko w polu, ale za to przypada na niego obowiązek kierowania zasiewami, sprzętem, podziałem i w ogóle planowaniem produkcji. Zresztą i kowal mający normalną działkę nie wychodzi w pole. Pracuje w kuźni i to liczy mu się jako roboczy wkład, uprawniający do uczestniczenia przy podziale sprzętu.

B. w domu, niestety, nie ma. Jest żona. Na stole chleb, jaja, dzban mleka, masło. Moi przewodnicy siadają pod ścianami. Jeszcze ktoś wchodzi. Znowu ktoś. Jeszcze dwóch.

Początkowa powściągliwość w informacjach minęła. Mówią wszyscy, mówią dużo, wyjaśniają, nie zgadzają się, pytają. Ale jednocześnie na coś czekają. Zdaje się, że ich rozumiem. W międzyczasie pani B pokazuje mi zdjęcie męża, syna i córek. Jedna z nich bierze dziś we Włocławku ślub. Jest studentką medycyny. Druga córka i syn również studiują. Ona sama (pani B.) nie mogła pojechać na ślub, gdyż ma skrzepy w nodze i stąd bała się trudów podróży. A pretensje chłopów do męża — mówi — są dziwne. Przezywają nas tu, aż wstyd mówić jak.

— Pewnie kołchoźnikami.

— Tak. A przecież my tego nie robimy. Jak możemy, tak się biedzie nie dajemy, a oni nam nie mogą darować. Dlaczego tak? Niech pan powie, dlaczego?

— Przez złość chyba, proszę pani — wyjaśniłem z jawnym smutkiem w głosie.

Wspólnie robimy przegląd dziejów tego dziwnego (bardzo nawet dziwnego) kąta.

Właścicielem majątku był niegdyś baron Kronenberg, obszarnik i przemysłowiec. Posiadał kilka majątków ziemskich, fabrykę w Warszawie i duże udziały w fabryce celulozy we Włocławku. W lutym 1945 r. Ł. normalnym trybem zmieniło właściciela. Nie wiem dlaczego w tym miejscu pomyślałem o zmianie pałeczki w sztafecie. Przecież tu strona oddająca nie wykazywała pośpiechu i skwapliwości... Mniejsza zresztą z tym. Fakt pozostaje faktem, że fornale wyręczyli w gospodarowaniu poprzednika, właściciela tej ziemi, Kronenberga. 22 rodziny otrzymały po 5 ha ziemi. Inwentarz żywy poza 24-letnim koniem, zniszczony był w 100 proc. Maszyny i narzędzia również prawie całkowicie. Zostały puste podworskie budynki, ziemia, 22 rodziny służby folwarcznej i perspektywa gospodarskiego usamodzielnienia się na rozparcelowanej działce. Przyszła wiosna i rozpacz. Czym i jak obrobić ziemię?

Stwierdzają wspólnie, że w pojedynkę zmarnieliby. Pada zatem decyzja wspólnego gospodarowania. Byle dokonać wiosennych obsiewów, stwierdzili wtedy — a potem zobaczymy. Konieczne orki wykonali pożyczonymi końmi we wsi. Brony ciągnęli sami.

— Rozumie pan teraz decyzję naszej wspólnej roboty. W pojedynkę ciągnąć bronę, to żadna przyjemność, a w czterech weselej było — żartują obecnie właściciele 12 pięknych koni.

Z trudem, pracując dniami i nocami, obsadzili pole. Okres do żniw przeżyli kartoflami, które zostały w dostatecznej ilości. Przyszły żniwa i sprzęt. Jak dzielić? Oto co ustalono i co obowiązuje do dziś: każda rodzina otrzymuje jednakową ilość plonów. Po omłocie i odsypaniu zboża do siewu i na potrzeby gospodarskie wspólne — takie jak pasze treściwe dla koni i bydła, resztę podzieloną na 22 równe części, zsypuje się do śpichrza, skąd każda z rodzin dowolnie dysponuje przypadającym na nią przydziałem. Może to zboże sprzedać, może nim tuczyć świnie, kaczki, gęsi, czy dodatkowo dokarmiać krowy, które zresztą jednakowo i wystarczająco karmione są wspólną, specjalnie na ten cel przeznaczoną, paszą.

Ustalono również, że każdą rodzinę obowiązuje jednakowa ilość dni roboczych. W okresie mniejszego nasilenia robót pracuje jeden człowiek, a w żniwa, wykopki i nagłe roboty — dwóch. Jeśli w którejś z rodzin nie ma dwóch robotników, to musi wynająć go skądinąd.

W obróbce ziemi zatem i podziale wyprodukowanych płodów jedynym kryterium jest wkład pracy. Myślę sobie dyskretnie, że tu realizuje się praktycznie zasada idealnej sprawiedliwości. Ani B., jako czynnik planujący („pracujący głową"), ani kowal, nie otrzymują więcej. Nawet dodatkowa komplikacja, jaką jest nierównomierna jakość poszczególnych działek, nie zmąciła prostego obrazu słuszności przy podziale. Działki o lepszej ziemi dają wyższy plon, ale też płaci się od nich wyższe nieco podatki i znacznie wyższe spłaty Ministerstwu Rolnictwa. Wszystkie te zawiłości są dla właściciela obojętne. Z wyższych plonów, według umowy, korzystać nie może, a podatki i spłaty załatwia się z wspólnej kasy, czyli wszyscy korzystają z identycznych dochodów i identycznie są obciążeni wspólnymi wydatkami.

Konie kupowali za pieniądze wspólne, ale natychmiast otrzymywały one właścicieli. Obecnie jest 12 koni, czyli dwóch gospodarzy przypada na jednego konia. Dyspozycje wyjazdu daje kierownik (B.). Latem pracują w polu, zimą natomiast zarabiają przewożeniem drzewa w pobliskim lesie. Praca ta przynosi im w jednym tylko sezonie ponad milion złotych. Wystarcza to łatwo na opłacenie podatków. Zatem i z końmi sprawa jest prosta. Natomiast z krowami jest gorzej. Właściwie teraz też sytuacja jest jasna, ale inaczej nieco było przy ich nabywaniu. Ustalono sobie kupić na początek tylko jedną sztukę, żeby większą ilością nie wykorzystywać tych, którzy krów nie mieli, a mieli prawo do przydziału paszy. Pasza ta ginęła jednak w żołądku krów kupionych już przez któregoś z działkowiczów. I dlatego, żeby nie tracić paszy na rzecz cudzej krowy, każdy z działkowiczów w bardzo szybkim tempie kupił krowę własną. A gdy w oborze stały już 22 krowy, ustalono prawo do kupna drugiej sztuki. W krótkim czasie przy żłobach stało 44 krowy. Przydałaby się — sądzę — taka przymusowa sytuacja wielu gospodarzom w Polsce. Tym bardziej, że każdy przy kupnie dobierał krowę nie po to, żeby być jej właścicielem, ale po to, żeby miał mleko. I dlatego wszystkie krowy w ich oborze są wysoko mleczne.

To wspólne gospodarstwo odbudowywało się w szybkim tempie. Każdy z działkowiczów był właścicielem 1/2 konia, 2 krów, dowolnej ilości drobiu i trzody chlewnej. W roku 1947 sprzątnęli: żyta 689 q., pszenicy 139 q, jęczmienia 70 q, owsa 389 q, ziemniaków 3000 q, buraków 782 q, co w przeliczeniu na rodzinę wynosi brutto 31,9 q żyta, 6 q pszenicy, 17 q owsa, 140 ziemniaków, 355 buraków, nie licząc drobniejszych zbóż, takich, jak proso, groch itp. Ziemia uprawiana była coraz lepiej, coraz staranniej. Urodzaje u sąsiadów - chłopów są wyraźnie słabsze (widać to i dziś), mimo, że gleba nie jest wcale gorsza (rzadki wypadek!). Odpowiedni płodozmian, szlachetne ziarno i sztuczne nawozy decydują o plonach.

Całe dzieje tej wspólnoty figurują w kolumienkach cyfr u kierownika. Wszystko jest wyliczone, każda czynność opłaca się. Ziemia musi plonować, krowy dają mleko, każdy pracuje i każdy zarabia bez krzywdy innego. Perspektywa każdego następnego roku jest, rzecz jasna, coraz lepsza. Czyż trzeba tu zmian? Dlaczego zatem od samego początku każdy z nich mówi, że chce iść „na swoje"? Zostawiam sobie to pytanie na koniec, mając nikłą nadzieję, że zaprzeczą swoim początkowym wyznaniom. No bo gdzież tu rozum grzebać tak piękną robotę...

Rzucam im nagle drastyczne przypuszczenie, że wszystko zawdzięczają kierownikowi B. Że właściwie cała ta wspólnota to on. Co zechce, to zrobi.

— Jeśli chce dobrze, to zrobi, a jeśli nie, to nie. Nas tu jest 22 rodziny. Mieszkamy blisko. Zawsze zdążymy się zejść i zawsze w ważniejszych sprawach się schodzimy. Zresztą, pan B. chce i sobie i nam dobrze — słyszę wyjaśnienie.

— Tak? Ale pan B. swoje dzieci ma na uniwersytecie, a wy? Przekonał was o tym, żebyście je tam wysłali? Pomógł wam?

— Dzieci to przecież nie wspólna gospodarka, żeby nam pan B. w nich pomagał — zaśmiał się hałaśliwie któryś. — Każdy sam kręci głową, żeby im było dobrze.

— Nasze i tak mają nienajgorzej. Krów, jak chłopskie, nie pasą. Szkołę we wsi skończą i jakoś tam będzie. Ma się przecież na lepsze czasy. —

— Ma ci się, ma — odparował sarkastycznie pierwszy. — Powiedz pan — krzyknął prawie — jak to będzie z tymi kołchozami?

Poruszyli się wszyscy. Przypuszczenie moje, że czekali na ten moment oddawna, okazało się słuszne. Dotychczasowymi informacjami zarabiali sobie na wyjaśnienia referatu min. Minca. Myślę, że w całej Polsce, w każdej wsi, padłoby to niespokojne pytanie. Z odpowiedzią zwlekam, bo jestem trochę zły, a ponadto chcę jeszcze od nich coś wyciągnąć. Pytam o Samopomoc Chłopską. Mówią z niechęcią. Kiedyś, owszem należeli, ale tam nie ma porządku, więc się wypisali. Żadnych z tego nie ma korzyści. Prezes i sekretarz, którzy należą jednocześnie do SL, robili wszystko, żeby im we wsi i w tej Samopomocy obrzydzić życie. I obrzydzili, 22 ludzi przestało być członkami. Wszyscy za to należą do PPS. Z wsią żyją „tak sobie". Po tym określeniu, po minach, zorientowałem się, że żyją źle. Zapytałem — dlaczego?

— Dlaczego? Niech pan idzie na wieś do G., Kr., albo A. Oni panu powiedzą. Szczególnie G., gdy go pan zobaczy, to niech pan wie, że ta jego śliwa nad okiem pochodzi ode mnie — rzekł ponuro jeden z nich.

Okazuje się, że z dawnego majątku zostało nierozparcelowane 6 ha nieużytków. Zostały one własnością gromady. Fornale mieli i na ten kawałek ochotę. Wydzierżawili go za 2.5 q żyta z ha, doprawili i mieli na nim zupełnie niezłe urodzaje. Przywódcy życia społecznego wsi (niestety przeważnie SL-owcy i wielomorgowi Samopomocowcy) nie mogli spokojnie patrzeć na to. Na niedawno odbytym zebraniu gromady ktoś rzucił wniosek, żeby dzierżawę odebrać. Zgoda nastąpiła szybko. Oponentów nie było, bo nie było dotychczasowych dzierżawców. Nowy dzierżawca, miejscowy gospodarz, miał płacić na szkołę 1,5 q z ha. Było to wyraźnie ideologiczne uderzenie w „kołchoźników". Nic też dziwnego (w ich pojęciu), że przy pierwszym spotkaniu z G., głównym inspiratorem całej tej akcji, doszło do rękoczynów.

Drugą sprawą zapalną jest 5 ha torfu, o przydzielenie którego ubiegają się fornale i gromada. Trzecią — 10.5 hektarowa resztówka. Czwartą, chyba najważniejszą, jest naiwne podejrzenie, że wspólny typ gospodarowania, dający tak wybitne wyniki w urodzajach i we współżyciu tego dwudziesto dwu rodzinnego zespołu, może zmienić tradycyjne formy, może wywołać wilka z lasu. Po referacie min. Minca, w ich pojęciu, „słowo stało się ciałem". I jak tu zezwolić im na dzierżawienie gromadzkiej ziemi, jak powitać dobrym słowem tych „kołchoźników", niedawnych służących, dziadów. Honorność gospodarska i ustabilizowana pozycja społeczno - gospodarcza w okolicy poczuła się zagrożona nową, nietradycyjną siłą. Gospodarz - „działacz" X, Y czy Z nie spotykał dotychczas oporu wśród żadnego z chłopów, żadnego z gospodarzy, aż tu nagle wyrasta sprzeciw ze strony 5 hektarowców. I to opór silny. Skąd ta siła? Bo, przecież jest ich 22. Wszyscy reprezentują całość. Z autorytetami rządzącymi wsią może być zatem w przyszłości źle...

Brak życzliwości do fornali w Ł. wychodzi na dobre czynnikowi wspólnoty. Wiadomo bowiem, że w pojedynkę nie da się rady. Żaden z nich nie miałby takich urodzajów, a społeczne znaczenie, szczególnie u wielomorgowych, byłoby równe zeru. Dziś natomiast wieś zazdrości im skrycie i uznaje niezrozumiałą siłę tego fornalskiego zespołu, w którym nie ma bogaczy, ani biedniaków, krzywdzących i krzywdzonych, rozkazujących i spełniających. Siła ta (możemy to dziś po gruntownej obserwacji tego ośrodka powiedzieć) jest jeszcze niewielka. Powstała ona na zasadzie szukania sposobu walki z bezpośrednią nędzą. Uciec od głodu, pobudować własny dom, mieć inwentarz i żyć normalnie po gospodarsku, jest ich spontanicznym marzeniem. Ale w tej chwili żaden nie chce odejść od zespołu. A mają przecież już krowy, konie, jakie takie narzędzia. Mogliby to podzielić i na pewno każdy dałby sobie radę gospodarując samodzielnie. Dlaczego zatem tego nie czynią?

Istnieje w każdym z nich sprzeczność. Każdy z nich bowiem wzrastał w okresie prywatnej własności, której sam był pozbawiony. Posiadanie osobiste zatem byłoby dla niego awansem nie mającym odpowiednika w innych grupach. To był bardzo rzadki awans. I dlatego, gdy nadarzyła się historyczna okazja zdobycia własnej ziemi, każdy brał ją, uprawiał i cieszył się zmianą pozycji społecznej. Fornale z Ł. przeszli te same koleje. Różnice stwierdzamy wiosną 1945 roku, kiedy to zgodnie stwierdzili, że samodzielnie gospodarując nie wytrzymają. I wtedy posiadając odkrojone już działki, próbują pracować razem, tak jak przed parcelacją, gdyż praktyka wskazywała, że tak będzie lepiej. Jakiż był wynik? Doskonały. Z jednej strony mają zaplecze dobrego samopoczucia, bo są właścicielami, a z drugiej — nie muszą zmieniać znanych form pracy, mają racjonalne planowanie, zadowalające urodzaje i sprawiedliwy podział plonów. Mechanizm wewnętrznych praw i działania podciąga mniej przedsiębiorczych, nie hamując możliwości żywszych (np. dowolność w hodowli trzody chlewnej). Najważniejsze jednak jest znaczenie społeczne nie spostrzegane prawdopodobnie w tych ośrodkach parcelacyjnych, które z miejsca przyjęły gospodarowanie indywidualne. Tam siła grupy fornalskiej rozmieniła się na drobne, rozproszyła się. Każdy w pojedynkę asymiluje się z mniejszym bądź większym powodzeniem do obowiązujących reguł kulturowych tej okolicy. Natomiast w Ł. spotykamy grupę o zupełnie innych tradycjach roboczych niż wśród chłopów. Wchodząc w nowy, absolutnie różny od poprzedniego, okres życia, grupa ta określa się tak w pojęciu własym, jak też i okolicznych chłopów, jako zupełnie nowy „społeczny kształt". Jest on niebezpieczny dla tradycji wiejskiej. Stąd negatywny stosunek do fornali z Ł. jest znacznie wyraźniejszy i zupełnie innego gatunku niż w okolicach, gdzie fornale gospodarują samodzielnie. Tam gospodarze widzą w nowych gospodarzach współzawodników w sprawie znaczenia osobistego na wsi i w okolicy, tutaj natomiast wietrzą zawalenie się całej tradycji indywidualnego gospodarowania.

Ale grupa z Ł. chce istnieć. Gdyby rozpadła się na 22 cząstki, zniknęłoby jej znaczenie. Zostaliby 5-hektarowcy nic przy miejscowych kułakach nie znaczący. Na każdego z nich spadłoby dodatkowo odium kołchoźnika, bo przecież trzy i półletniego wspólnego gospodarowania nie zatrze się w pamięci sąsiadów. I to jest również przyczyną, dla której nie kwapią się stawać na własnym warsztacie rolnym, choć gospodarczo rzecz biorąc, nie ma ku temu ważniejszych przeszkód. Wspólnota ta ośmiela ludzi, daje im znaczenie społeczne. Antagonizm ze „starą wsią" spowodował duży solidaryzm wśród fornali. Nie ma tu zawiści, ani poważniejszych nieporozumień. Konflikty, jeśli są, mają charakter nagły. Nie wloką się latami i nie zataczają szerszych kręgów.

Widać zatem w tej wspólnocie wyraźne sprzeczności. Mamy tu uznanie do uspołecznionej produkcji rolnej, planowanie, dobrą uprawę zbóż i okopowych, racjonalną hodowlę bydła, sprawiedliwy podział plonów, oparty na zasadzie wkładu pracy, ambicje jeszcze wyższego wzrostu produkcji. Te fakty świadczą niewątpliwie o dużym postępie. Ale obok notujemy: 1) tęsknotę, żeby iść „na swoje", choć systemu gospodarowania zmieniać nie chcą. Jest to zapewne sprawa przedłużonego nawyku u ludzi pragnących przez szereg pokoleń awansować do „własnego". Przeszkadza im ona przytomnie spojrzeć na stan faktyczny, który u nich wygląda w ten sposób, że pojęcie „własny" ogranicza się przede wszystkim do osobnego domu mieszkalnego, osobno trzymanych świń, kur, kaczek itd. Praca, podział produktów, używanie koni itp. nie budzi bowiem żadnych zastrzeżeń, 2) brak zainteresowań szkołami średnimi i wyższymi i możliwościami kształcenia w nich własnych dzieci, 3) brak gazet, książek, 4) martwota organizacyjna. Na dowód niech służy fakt, że nikt o ich, dość przecież oryginalnym sposobie gospodarowania, do czerwca 1948 r. nie wiedział. Ani PPS, ani ZSCh, choć byli członkami tych organizacji. Dopiero badania prowadzone nad resztówkami przez Zakład Socjologii Wsi przy WSGW w Łodzi odkryły ten ośrodek, 5) nie chcą traktora. Twierdzą, że nie mieliby co nim robić. Poza tym wyższość koni nad traktorem jest, według nich, oczywista ze względu na nawóz, 6) boją się projektów zgłoszonych przez min. Minca. Gdy wyjaśniłem, gdy porównywałem go do ich sposobu gospodarowania i gdy doszliśmy wspólnie do wniosku, że ich zespół gospodarstw dalej poszedł w społeczym gospodarowaniu, niż idą projekty współczesnych czynników politycznych — zdziwili się.

— Ludzie takie rogi temu wszystkiemu przyprawiają — pokazał któryś długość rogów na głowie — Krzyczą, że kołchozy i kołchozy. Ziemię odbiorą i nie będzie żadnej własności. Jeść trzeba z wspólnego kotła. Stare baby opowiadają, że na jedną tu niedaleko wieś przysłali już z Rządu taki kocioł, ale ludzie się zebrali i ten z kotłem musiał uciekać. Podobno jest teraz w starostwie w Piotrkowie. Radzą tam, gdzie go wysłać. Jak się trafi na jaką wieś, to już przepadło. Będzie tam kołchoz. Toteż modlą się do Matki Boskiej, żeby odwróciła od nich ten kocioł.

Opowiadaniu towarzyszył gruby śmiech. Wyraźnie poweseleli. Byli mi wdzięczni za informacje. Zrozumieli, że faktycznie „ma się na lepsze".

* * *

Wychodziłem przez tę samą bramę. W podcieniu kuźni stali ci sami ludzie. Ale obecni różnili się od poprzednich znajomością problemu spółdzielczości produkcyjnej. Ich pytające zaciekawienie, czujność i ostrożność z przedpołudnia ustąpiły miejsca pewnemu uspokojeniu w tej sprawie. Czy zupełnemu? Nie sądzę. Śmieszna historia — myślę, mierząc krokami twardą popielatość szosy — boją się tego, co z wiarą i przekonaniem sami robią. Jest to różnica źródeł z których wychodzi nowy projekt. Jest to ścieranie się dwóch epok kultury.

Piotr Chmura

HISTORIO, JAK CIĘ

WE Wrocławiu odbywa się Kongres Polskich Historyków. Obrady toczą się w pięciu sekcjach: 1) Dzieje Śląska Wielkiego Pomorza, 2) Dzieje Słowiańszczyzny, 3) Wiosna Ludów, 4) Geneza współczesnego społeczeństwa i państwa polskiego, 5) Polska nauka historyczna po drugiej wojnie (zagadnienia metodologii). L. Bazylew zapowiadając w sierpniowym numerze „Wsi" Zjazd Historyków, pisał, „że podział na (wymienione) sekcje wydaje się słuszny i jeżeli chodzi o całokształt pierwszoplanowych obecnie zagadnień, o to, czego współczesne społeczeństwo polskie rzeczywiście potrzebuje i od historyków oczekuje — wyczerpujący".

Co uczeni powiedzą dowiemy się. Czego zaś rzeczywiście oczekuje od historyków polskie społeczeństwo — szkoda, że nie zostało to w jakimś „plebiscycie" wyrażone. Choć takim plebiscytem było głosowanie za Ziemiami Odzyskanymi, choć charakter takiego plebiscytu ma porozumienie partii robotniczych, dążących do zjednoczenia i powołujących się nie tylko na polską ale i stuletnią europejską tradycję rewolucyjnego ruchu robotniczego, choć znaczenie takiego plebiscytu ma sojusz Polski ze Zw. Radzieckim i słowiańskimi państwami demokracyj ludowych.

Historycy skupili się w badaniach wokół tych zagadnień, powstałych wprawdzie i na drodze plebiscytów, ale powstałych w zakresie życia społeczno-politycznego. Historycy przenieśli je do swoich gabinetów ponad głowami mas ludowych. Konfrontacji bezpośredniej nie było. A szkoda. Historycy nie stoją tylko wobec „wielkich rocznic" (Wiosna Ludów) i „racji stanu" (Dzieje Śląska i Pomorza, dzieje Słowiańszczyzny), stoją wobec rzeczywistego, współczesnego narodu. Gabinetowa orientacja — to mało. Bywa ona zazwyczaj formalna. Prawdziwa orientacja jest zawsze — społeczna. Z żywych sił społecznych idą bodźce do badań. I wyniki badań do nich wracają, jako narzędzia współczesnego ich rozwoju albo... klęski.

Długosz był królewskim historykiem, Szujski — szlacheckim. Od tego zaczynała się ich historiografia. Ani ich nie ganimy, ani się nie dziwimy, że tak wyraźnie byli związani z określonymi siłami społecznymi. Jakże historyk miałby uciec spod praw historii, kiedy nie wymyka się spod nich nic.

Puklerz „aktualności zagadnienia" okaże się wyraźnie niewystarczający na takich sekcjach jak: geneza współczesnego społeczeństwa i państwa polskiego albo: metody badań historii.

Sprawa chłopska w XIX i XX w. co będą referować Inglot i Szczotka, inaczej stać będzie u nich, niż np. u Śreniowskiego. Społeczeństwo rozumie, że od tego są uczeni, aby mieli swoją autonomię w zakresie narzędzi i metod poznawczych, ale również dobrze rozumie, że wynik ich badań odsłania: z kim są i przeciw komu we współczesnej walce klas, we współczesnej walce światowych sił postępu i reakcji.

*

Z okazji Kongresu Historyków chcemy dać głos tym, co wyrażają zapotrzebowanie społeczeństwa. Głosy te stanowią tylko fragment tego, czego od historyków oczekuje współcześnie naród. Mają one jednak raz jeszcze przypomnieć uczonym (przypomniał to Kongres Intelektualistów) złożoność ich funkcji poznawczych, zawisłych od czasu. Twórczość w metodzie badań, twórczość w odkryciach zakwitała etapami zawsze w łożysku tych sił społecznych, jakie historię naprawdę posuwały naprzód.

Podajemy poniżej wypowiedzi trzech działaczy chłopskich. Dwaj z nich są u schyłku życia (około 80 lat). Byli i są oświatowcami. Działali najczęściej piórem, w tym okresie ruchu ludowego zaczynając, kiedy paranie się piórem nie rozwijało jeszcze ani świadomości zawodu dziennikarza czy literata, ani nie przesłaniało roli pióra, jako narzędzia służącego dla celów poza literackich — dla bezpośredniego oddziaływania społecznego.

Trzeci jest młodym działaczem chłopskim — nauczycielem na wsi.

W tych trzech głosach występują dwie sprawy:

1) jak lud dochodził do poznania historii?

2) jak gromada wiejska boryka się z odcyfrowaniem historii swojej wsi?

Co w tych sprawach się zawiera i jakie z nich wynikają wnioski, dla historyków?

*

Dwaj starcy — Piotr Wyrobek i Franciszek Kuś przypominają lata swej młodości. A wraz z jej obrazem nasuwają czytelnikom podstawowy problem: jak warunki społeczne decydują po 1) o samym procesie rozchodzenia się i utrwalenia w społeczeństwie wiedzy i świadomości historycznej, po 2) jak warunki społeczne narzucają „dołom społecznym" wybór określonego systemu spośród różnych systemów badań historycznych, dokonywanych „u góry" przez uczonych — i po 3) jak z kolei dwa pierwsze czynniki oddziaływują na samą naukę historii, na pracę historyków.*

Czasy dzieciństwa Wyrobka (80-te lata w Galicji) to jeszcze epoka kaganka i światła z paleniska. Charakteryzowana ekonomicznie: epoka „nędzy galicyjskiej", grasującej cholery i początków wychodźtwa za oceany. Od 48 roku liczba ludności podwoiła się, ziemia chłopska, podlegająca kapitalistycznej organizacji i własności, skoncentrowana została w rękach 4% wielkochłopskich gospodarstw i rozproszkowana (do 2 ha) w masie 80% biedoty. U niej nie wychodzi jeszcze z użycia drewniany pług. Wielkie majątki są premiowane w polityce agrarnej Austrii. Chłopów pożera lichwa — a przemysł nie rozwija się. To wszystko można zamknąć w symbolu kaganka i paleniska. Wieczornice sąsiedzkie nie są do czytania, są do gawęd i bajek. Dlatego wiedza historyczna, nawet przez popularyzacyjne publikacje nie ma dostępu do mas chłopskich. Szujski i hrabia Tarnowski układają taki program szkoły ludowej, by ta nie odrywała chłopów od ich stanu i nie groziła zniszczeniem istniejącej (nie)równowagi społecznej. Hula szlachecka historiografia. Szkoła krakowska demokratyzuje się wewnątrz tej historiografii. Krytyka wybranych grzechów ma za zadanie przystosować historię szlachecką do nowych czasów; nawet Świętochowski rozgrzeszył ziemiaństwo za wiek XIX. Wobec pierwszej fali emancypancji ludowej (ks. Stojałowski) będzie ta historia już uzbrojona i będzie skutecznie rozbrajała następne pokolenie z okresu i spod sztandaru Witosa.

Parafialny nurt wychowania na wsi podtrzymuje magiczny wizerunek świata.

* patrz strona 4.

Piotr Wyrobek

Odpustowi przodownicy i klątwy biskupie



Piotr Wyrobek

W czasach mojego dzieciństwa (a mam już 78 lat) nie było w naszej chałupie (na Podhalu) innego światła, któreby oświetliło kurną, zadymioną izbę, jak kaganek i zapałane na tzw. nalepie szczypki z olchy lub sosny. Ich płomyk rzucał słabe światło na zczerniałą od dymu izbę zw. piekarnią. U spodu nałożonych na palenisku szczypek żarzące się węgielki służyły do zapalania fajek, które namiętnie kurzyli chłopi, rozsiadłszy się na ławie pod oknami. Przyszli, by posłuchać „gadek i bajek", które ktoś świeżo przybyły do wsi opowiadał lub podsłyszanych na jarmarku.

Kobiety domowe przędły len przy pomocy wrzecion lub wózków, o jednym kole. My, dzieci, siedzieliśmy na ławie przy ogrzanym piecu chlebowym. Wszyscy słuchaliśmy opowiadań, gadek, gawęd i bajek opowiadanych przez przybyłych gawędziarzy wiejskich, starych wojskowych służbistów, lub nocujących u nas dziadów a czasem nawet cyganów, jacy włóczyli się po wsiach. Byliśmy ciekawi usłyszeć coś nowego i coś o tym jak to było dawniej i u nas i we świecie i co tam gdzie ludzie robią i o czym gadają.

Były to samorodne wieczornice chłopskie. Na takich wieczornicach na pierwszy plan wysuwał się znany gawędziarz, analfabeta, ale mądry chłop Stanisław Wojtowicz, zw. Knapek. Z jego opowiadań i rozumowań dowiadywaliśmy się, że „dawniej **nic dobrego nie było na świecie dla chłopa, ale się wszystko ma na lepsze zmienić, bo zmienić się musi".** Była większa ciemnota, bieda i nędza na wsi, trapiła ludzi pańszczyzna, a tu w okolicy grasowały bandy zbójeckie i nie było na to żadnego ratunku, czasem zwierz dziki, wilk przyświecił ślepiami, dobywając się do stajen i chlewów.

Bywały na tych zbójów po lasach obławy żandarmów i wojska z nagonką gromadzką i schwytanych prowadzili skrępowanych na Wiśnicz, aby ich tam bez pardonu powiesić na szubienicach. Niektórzy pod szubienicą wywoływali gdzie mają ukryte skradzione pieniądze i kosztowności.

Wśród takich gawęd nie słyszało się nic o dawnej Polsce królewskiej, krom tego, że była pańszczyzna i przymus robocizny darmowej pod rygorem chłosty kijami i bykowcami opornych czy leniwych chłopów. Mówiono też, że „był jeden, co pochodził ze ślakcica" a nazywał się „Kostuski" (Kościuszko) i ten przebrał się za chłopa w Krakowie [1]) i zaczął wojować z tymi „cysarzami", co rozszarpali Polskę, aby ją, przywrócić na nowo, ale znieść pańszczyznę, aby chłop był równy panu". Głównym tłem opowiadań były marzenia, aby się przywróciła ta Polska rozszarpana, i żeby nie było granic kordonowych i tamujących chłopskim pielgrzymkom drogę do Pana Jezusa i do cudownej Matki Boskiej w Częstochowie, aby chłopi, gdy przyjdzie „niepeć" mogli tam przedstawić swą dolę i wyprosić wzięcie ich w opiekę gdy doznają krzywdy „bo do kogoż tu się zwrócą? Skoro „cysarz" jest daleko a Bóg wysoko?" — O uświadomieniu narodowym chłopa nie było rady gadać. bo słyszało się w kościele ciężkie słowa, że „człowiek do pracy tak samo jak ptak do latania stworzony jest", więc też i „chłop musi być posłuszny Bogu, kościołowi i cysarzowi" to mu wtedy będzie dobrze. — Wiedzę o dalszym świecie przyniósł chłop do wsi po powrocie z długotrwałej „wojaczki" w czasach wojen napoleońskich, trwającej nawet 25 lat — wielu ich powracało z siwymi głowami i z tych to rekrutowały się te dziady-gawędziarze, włóczące się od wsi do wsi. Pamiętam takiego starego obwieszonego medalami górala nazywał się Czarnota, co umarł mając ponad 100 lat, a pochodził z polany Czarnotowej ze Skawicy. Chwalił się, że go Napoleon klepał po ramieniu gdy stanął przed nim aby odebrać odznaczenia za waleczność. Jako żołnierza austriackiego zabranego do niewoli zwerbowano go potem do służby w Legionach Dąbrowskiego. — Jeszcze widziałem poniewierające się tu i ówdzie po chałupach tych gazdów, którzy mieli ze swojego rodu księży, wyuczonych w konwikcie O. O. Pijarów w Padolinie na Spiszu — roczniki czasopism, oprawne w książkę. Trafiały się takie jak: Przyjaciel Ludu, Przyjaciel Domowy z Gazetą Rolniczą, Zwiastun Górnośląski, Rozmaitości, Gwiazdka Cieszyńska, Chata i Nowiny, ale czytywali je bieglejsi w czytaniu książek tzw. **czytelnicy i przewodnicy odpustowi.**

Znałem wielu takich, chodziłem z nimi nawet w towarzystwie matki na odpusty do Kalwarii Zebrzydowskiej — podobali mi się, bo mieli piękne torby, co ich wyróżniało od innych pątników. — Później, gdy byłem starszym i nauczyłem się już swoje spostrzeżenia analizować, dowiedziałem się, że owi **przewodnicy** zbierają od pątników pieniądze na wypominki za dusze zmarłych z rodzin pątników i na msze święte i przechowują w tych torbach skórzanych. Chodzą zaś na odpusty w celach **zarobkowych** więcej aniżeli z pobożności. Zebrane na wypominki pieniądze — to ich zarobek, te zaś na msze święte oddają księżom. W roku 1897, będąc na odpuście w Mogile z wycieczką, zaobserwowałem dobrze typ takiego przewodnika, odpustowego, znanego zresztą, bo go widywałem w makowskiej propinacji. Był to chłop-nieroba, przesiadujący po karczmach. Rad chodził po odpustach w celach zarobkowych, a miał kilku naganiaczy z różnych okolic. Gdy przyszedł do Mogiły pod Krakowem, usiadł w ławce w kościele — z otwartą książką, a tymczasem ci jego pomocnicy-naganiacze rozeszli się po kościele i zaczepiali klęczących pątników, głaszcząc ich po plecach: „przyjacielu — pódźmy też na stacje za dusze zmarłe" — „tam siedzi nasz przewodnik". Nie wielu pątników udało się zwerbować do obchodu stacyj jerozolimskich, toteż od trzeciej stacji wracał przewodnik na swoje miejsce, a po pewnej przerwie naganiacze rozpoczynali znowu werbunek, chodziło o to, aby było więcej ludzi do złożenia pieniędzy za wypominki dusz zmarłych, w rodzinie pątników bliskich — bo to przecież była praca zarobkowa, przewodnika i jego pomocników. Tak więc **byli na wsiach przewodnicy odpustowi, bo to się opłacało, ale nie było przewodników pracy czy to rolniczej — czy oświatowej, bo to nie opłacało się wcale!**

Oprócz wymienionych powyżej roczników czasopism trafiało się tu i ówdzie po chałupach znaleźć starą książkę, zapewne przyniesioną z Częstochowy, opisującą historię obrazu Cudownej Matki Boskiej z opisem cudownych uzdrowień i ocaleń na wojnach, wydrukowaną w XVIII wieku — z rycinami. Była też napisana przez ks. Gądka książka o zwalczaniu pijaństwa, to znów jakaś o czarnoksiężnikach i czarownicach i ta była widocznie najpoczytniejsza, bo była bardzo zniszczona — poza tymi były senniki egipskie i kalendarze, drukowane u Feitzingera w Cieszynie, kupowane u kramarzy jarmarcznych, ale wieś zaczęła czytać dopiero w miarę rozszerzania się wpływów stronnictw chrześcijańsko-ludowego ks. Stojałowskiego, który miał najwięcej stronników we wsiach okolicznych. Było też wielu stojałowczyków wybitnych, którzy we wsiach mogli wiele zdziałać, bo pozostawiały i kółka rolnicze i Kasy Reiffaisena zamienione w Kasy Stefczyka, bo ten je zreformował. Lecz Stojałowszczyzna, obkładana klątwami, zwalczana przez kler, przez odmowę dawania rozgrzeszenia przy spowiedziach, przyczyniła się do tego, że wielu wybitnych chłopów, którzy mogli być tymi przodownikami na wsi, zniechęciło się i korzystając z parcelacji dworów we wschodniej Galicji, przeniosło się w inne strony. Taki Stanisław Wójcik osiadły po tym w Jajkowcach, nie mógł wytrzymać prześladowania za to, że był stronnikiem Stojałowskiego, lub taki Wojciech Pitek, zagorzały stojałowczyk. Nie wymieniając tych, którzy przerzucili się do Stronnictwa ludowego pod Stapińskim na czele, muszę wspomnieć, że chłop-gawędziarz, choć analfabeta, Stanisław Wójtowicz okazał **się dobrym przodownikiem** stojałowszczyzny, bo choć sam nie czytał, to prenumerował stale „Wieńca i Pszczółkę" — „Dzwon" i „Niewiastę" i roznosił je po chałupach do czytania, a miał taką pamięć, że z całą dokładnością mógł opowiedzieć innym całą treść gazety jemu przeczytanej.

Byli jednak wśród chłopów bogatych przeciwnicy czytania i gazet nie prenumerowali, nie czytali też książek — nawet wtedy, kiedy już była możność oświetlenia izby lampą naftową.

Z książek zaczęła młodzież wiejska korzystać po założeniu czytelni i były w obiegu: Pan Tadeusz — Mickiewicza, Komornicy — Orkana, niektóre książki J. I. Kraszewskiego, Sienkiewicza i Prusa.

Za moich młodych lat była we wsi 3 oddziałowa szkoła o 1 nauczycielu, bo dopiero z czasem przydzielono drugą siłę. Musiałem przeto radzić sobie, aby zdobyć nieco wiedzy przez czytanie książek, z których na mnie największe wrażenie i wpływ wywarły takie, jak **„Przestrogi dla Polski"** — Staszica i **„Nędza Galicji" — Szczepanowskiego.** Następnie przeczytałem Kraszewskiego, prawie wszystkie — po czym Historię Powszechną, 16 tomów z wydawnictwa Bondego w Wiedniu, przeczytałem 3 razy Dzieje Polski, 3 razy Historię Literatury Polskiej, czytałem też kilkakrotnie — a wszystkie te książki sprowadziłem z Wiednia na spłaty ratalne.

To było w latach mej młodości.

Mając takie podstawy mogłem już pisać i do Kalendarzy artykuły o treści historycznej które bardzo podobały się chłopom.

[1]) Przytaczam dosłownie jak było mówione.

POZNAWAŁ LUD?

Gadki, bajki, hagiografia i — jak wspomina Wyrobek — przewodnicy odpustowi. To nauczyciele ahistorii. Zarabiają na tej nauce. Żyją z walki z historią, jako nauką i faktem społecznym. Krakowska szkoła umacnia dlatego rozdział między masami chłopskimi a wiedzą historyczną. Jest dla mas niewątpliwie niepotrzebna. Jest wiedzą panujących. Przez pracownię Matejki wkrótce już przemkną ostatnie „dostojne głowy".

Nawet nie dla nich pracuje Krakowska Szkoła. Restaurując herby, umacnia w kraju półkolonialnym pozycję obcej burżuazji i imperializm obcych mocarstw. Dostojne głowy służą za parawan. W latach międzywojennych młodzież wiejska będzie się dusić w pułapce: chłopi — panowie. Fałsz Szkoły Krakowskiej zemści się na niej. Odrzucać będzie historię szlachecką, przekonana, że „panowie" są jedyną i ostatnią instancją, decydującą o ich niewoli społecznej.

Przewodnicy odpustowi uczą miłości do ojczyzny, budzą pragnienie wyzwolenia jej, zniesienia kordonów rozbiorowych, aby nie tamowały drogi pielgrzymkom do Cudownej Matki Boskiej w Częstochowie, która metafizycznie wybawi chłopów z nędzy i krzywdy społecznej. Czy takie warunki wychowania wsi dają, czy odbierają badaniom historyków funkcję społeczną?

Wyrobek mówi o klątwach nakładanych na Stojałowczyków. Mecenasi „przewodników odpustowych" walczyli z chłopstwem, które mogło stać się na wsi przewodnikiem oświatowej i politycznej emancypacji. Walczyli słusznie, bo już w roku 1904 Bojko odważył się napisać: „W was tchnięto duszę niewolniczą!... Wy przysięgali słuchać biskupów, ale my w rzeczach świeckich nie. My o swe prawa bez was walczyć musimy i będziemy". (Dwie dusze).

Okres tej walki dał połowiczne zwycięstwo mecenasom „przewodników odpustowych". Po rozłamie „Piasta" w 1913 r. kułacka frakcja nawróciła do tradycji. „Bez porozumienia się z Narodową Demokracją — mówi Witos w 1918 r. — nie może być trwałego rządu, zwłaszcza, że duchowieństwo będzie się do niego wrogo odnosić". Droga wiodąca pomiędzy „starszych braci", droga solidaryzmu społecznego skazywała na takie rozumienie historii, jakiemu patronowali i Dmowski i Piłsudski. Dlatego Bojko — pisarz zawędrował w senatorskie krzesła sanacji. Dlatego we wcześniejszej fazie była Lanckorona i Chieno-Piast. A w późniejszej Niećko nawracał do „mistycyzmu" słowiańskiego i do sympatii dla młodego Obozu Narodowego, w którym „znajduje oddźwięk to, co nurtuje światem całym".

*

Młody działacz i nauczyciel, Adolf Olechnowicz, przedstawia wieloletnie zabiegi chłopów z Głuchowa (w woj. łódzkim), którzy chcą mieć napisaną historię swej wsi. Takie pragnienia (uwieńczone kroniką historyczną lub szkicem monograficznym) nie są rzadkie i mają półwiekową tradycję. Włączyło się w nią wiele motywów. Etnograficzne badania i towarzystwa z końca wieku XIX skupiały — charakterystyczne — pierwszych inteligentów pochodzenia chłopskiego i inteligencję ziemiańską. Zainteresowania szły równolegle. Pamiątki przeszłości szlacheckiej uzupełniano ludowymi. Na ten okres przypada również początek ruchu regionalnego, jaki w Europie i u nas miał stanowić poprawkę do kapitalizmu. Odkryto najpierw Tatry. Orkan patentami górali Gąsieniców rywalizował ze Zborowskimi starożytnością rodów. Gąsienice mieli nadania od Władysława IV, czymże przy nich był taki np. margrabia Wielopolski czy hrabia Fredro, utytułowani dopiero w XIX wieku? W ruchu zaraniarskim hasło „sami sobie" skonkretyzowało się we wspólnocie gromady wsi. Od zaraniarza też, M. Wasilewskiego, wyszła myśl spisania historii Głuchowa.

W latach międzywojennych Koła Młodzieży Wiejskiej skupiają uwagę na życiu wewnętrznym własnej wsi. Związki Sąsiedzkie i rywalizacja kół wzmaga patriotyzm lokalny. Walka młodych z dworem i z „cywilizacją miejską" izoluje ich od świata. Stare pokolenie znało fabryki i miasta w kraju, za granicą i za oceanem, młode ma zamkniętą emigrację, a miasta wyrzucają na gościńce bezrobotnych. Obrywa się pułap wyższych klas szkoły powszechnej. W 37 roku milion dzieci chłopskich poza szkołą! Pożywka ideologiczna z centrali Wici, Siewu czy U.L.-wych pogłębia ten stan, napływają kolejne fale: słowianizm, mistycyzm związku chłopa z ziemią, teoria odrębności biologicznej, kult ludowej kultury, agraryzm.

I w tym tyglu rozwija się krytyka historii z podręczników szkolnych i historii, jaką pamiętało stare pokolenie. W „Młodym Pokoleniu Chłopów" wiele głosów domaga się „chłopskiej historii" i chłopskich dziejów, przewrócenia dotychczasowych zasad oceny i odsłonięcia prawdy w przeszłości panów i chłopów. Prawda o krzywdzonych i pracujących umacnia w młodych godność klasową. Prawda, jakiej się młodzież domyślała nie była jednak pełna. Brakowało w niej często ogniwa ustroju kapitalistycznego i związku historii wsi polskiej w XIX wieku z historią imperialnego kapitalizmu światowych mocarstw.

O materiałach, jakie zebrano w Głuchowie, zadecydowały minione ustroje. Wieś w dokumentach jest „niewidzialna" prawie. Dokumenty ustrojowe pokazują historię królów i szlachty. Nie jeden Głuchów, a tysiące gromad czeka zmaterializowania „niewidzialnych" dziejów swej wsi. Ale i na Głuchowskich materiałach zaciążył jeden tylko konflikt: panowie — chłopi. Śledztwo chłopskie nie przepuściło żadnego pańskiego śladu. Wyszkolenie w tym kierunku trwa już 50 lat i bardzo się rozpowszechniło.

Brak natomiast w materiałach głuchowskich konfliktu: chłopi — kapitaliści. Brak nie u chłopów głuchowskch, nie u nauczyciela Olechnowicza, brak w metodzie poszukiwania źródeł dokumentów, w orientacji pod jakimi postaciami i w jakich formach są one zapisane i utrwalone.

A z tej tylko perspektywy krytyki kapitalizmu powstać może nowa historia wsi polskiej, sięgająca choćby Piastów. I taka potrzebna jest dziś w każdym Głuchowie. Ale potrzebna jest również monografia każdego Głuchowa. Bo pragnienie takie wyraża obecnie nie chęć „wejścia w korzenie przeszłości" i wznawianie jej, ale namacalne, u siebie, we wsi, prześledzenie przemian i zrozumienie przemian dla tworzenia koniecznych, nowych przemian.

Od historyków każdy Głuchów oczekuje takiej historii dziejów wsi polskiej, która mu wyjaśni minione przemiany i uzasadni konieczność nowych.

Adolf Olechnowicz

Jak chłopi głuchowscy siebie w historii szukają

„W najobszerniejszych nawet książkach Historii polskiej nie mogliśmy znaleźć siebie — chłopów. A dyć przecie chłopi w Polsce nie spadli z nieba dopiero w XX wieku, jak ongiś manna Żydom. Od narodzenia Polski najliczniejszą częścią narodu byliśmy i jesteśmy. A jeśli tak, to na czym polegał udział nasz w tworzeniu historii polskiej, boć historia, to nie tylko rejestr królów, wojen i rodów herbowych, jeno — i to przede wszystkim — życie i praca **całego** narodu".

Tak to Głuchowiacy, ze swoim działaczem ludowym, zaraniarzem Marcinem Wasilewskim na czele zapragnęli jeszcze w latach międzywojennych napisania historii swojej wsi, pełnej i wiernej. Ale kogo było we wsi *prosić* o pomoc, a właściwie o podjęcie tak odpowiedzialnej i trudnej roboty? Kogóż, jak nie nauczyciela. Próbował jeden z nich, próbuje drugi — szperają w źródłach i naukowych opracowaniach polskiej przeszłości. Niestety, okazało się, że tak opracowania, jak i źródła przerastają ich siły. W książkach naukowych historyków nie znajdują metod do przedstawienia monografii wsi Głuchowa. Materiał jaki zgromadzili jest jednostronny. Jak z niego wyczytać dzieje wsi? Oto sam surowy materiał historii Głuchowa.

Kronikarz Długosz, pod datą 1136 zawadza i o Głuchów — nazywany wtedy Sochowo. Głuchowiacy rok temu, jako najwcześniejszy, w którym siebie odnaleźć zdołali, przyjmują za datę swoich historycznych urodzin. W roku tym Konrad Mazowiecki dał Arcybiskupowi Gnieźnieńskiemu i Głuchów — wraz z Łowiczem i innymi wsiami — za rozgrzeszenie z grzechu śmiertelnego (zabójstwo Wojewody Krystyna)

...A więc rozgrzeszenie mógł sobie możny pan kupić, a płacił za nie kapłanowi — chłopami... Tak chyba Chrystus nie postanowił?... Więc kto i w jakim celu?.. pytają chłopi i czekają rzetelnej odpowiedzi od uczonych historyków.

Potem Głuchów (Sochowo) wymieniony jest w roku 1200, w przywileju rozgraniczającym wsie królewskie i biskupie; następnie — w przywileju Władysława Jagiełły, uprawniającym Arcybiskupa Gniezn. do ściągania podatków; dalej — w przywileju Kazimierza Jagiellończyka nadającym Arc. Gniezn. prawo ustanawiania w Głuchowie zastępców — proboszczów; wreszcie w roku 1509 i 1512 w potwierdzeniach wyżej wyszczególnionych przywilejów przez króla Zygmunta.

Za co to i dlaczego królowie polscy przywilejami kościołowi płacą? Czy także za rozgrzeszenie — czyżby każdy z nich wielkim grzesznikiem był?.. A gdzież jest życie i praca chłopów — pradziadów naszych, jaka to dola ich po każdym takim przywileju była?... — pytają Głuchowiacy i szukają siebie dalej.

W roku 1230, następnie w 1263, napadają na Głuchów Prusacy. W roku 1351, za Ziemowita III Księcia Rawskiego, Król Polski Kazimierz Wielki przejeżdża przez Głuchów z wojskiem ku Rawie celem zajęcia tego miasta tytułem zwierzchnictwa nad Mazowszem. W połowie XV wieku, córka Ziemowita IV Księcia Rawskiego, Katarzyna, napada zbrojnie na Radom. Starosta królewski w zamku rawskim Grot wychodzi z wojskiem przeciw Katarzynie. Bój rozegrał się pod Głuchowem, napad Katarzyny został udaremniony. W roku 1521 dostarcza Głuchów na wojnę 2 ludzi uzbrojonych w siekiery. Zbiórka ma miejsce w Rawie, skąd wozem wojennym miasta Rawy, z woźnicą Mikołajem, odjeżdżają na wojnę. W roku 1462 przejeżdża przez Głuchów król Kazimierz Jagiellończyk, w r. 1587 w listopadzie — król Zygmunt III, w roku 1592 w czerwcu — Anna Jagiellonka z siostrą królewską Anną, w tym też roku w końcu sierpnia — król Zygmunt III z żoną Anną Rakuską, w r. 1595 — przejażdża tędy królowa na chrzest królewicza Władysława do Krakowa, potem wraca do Warszawy, skąd znów dnia 29 września 1596 r. przewożą przez Głuchów jej zwłoki na Wawel.

I tak cała historia przewala się przez Głuchów bez przerwy, ale w historii tej ani słuchu o Głuchowiakach. Nawet woźnicy nazwisko jest, ale nazwisk tych, którzy uzbrojeni w siekiery do boju szli — nie ma. A przecież chłopi wtedy, w wielkim trudzie i poniewierce, polskie ugory przerabiali na uprawny grunt, a kiedy trzeba było, bronić Polski — siekierami szli — więc żywili i bronili. A przecież towarzyszące wojnom i wojenkom rzezie i pożary chłopów przede wszystkim dziesiątkowały, a przemarsze i postoje królów, książąt i wojska kosztowały wtedy chłopów nie mniej, niż nie jedna wojna.

W SZWEDZKIM POTOPIE

Przez ziemię głuchowską ciągnie się pas pola, na którym się nie chce żadne zboże rodzić. Do dziś pole to nazywają to „Szwedzką Drogą", albo „Chudą Drogą". Nazwa ta to pamiątka po „Szwedzkim Potopie", który nękał Głuchowiaków ogniem i mieczem, głodem i morowym powietrzem przez szereg lat.

W sierpniu 1655 roku przechodzi przez Głuchów z armią generał szwedzki Wittenberg i zatrzymuje się tu na trzy dni, a w październiku tegoż roku grabią Szwedzi, burzą i palą kościół głuchowski i zabierają ze sobą dzwony kościelne. Zaraz za Wittenbergiem przejeżdża przez Głochów król szwedzki Karol Gustaw, by połączyć się z generałem swoim w Rawie i dnia 2 września 1655 roku wyruszyć, na czele połączonych wojsk szwedzkich, przeciw Janowi Kazimierzowi. Ale pozostał wtedy w Rawie odwód wojsk szwedzkich, który napada na okoliczne wsie, grabi je, niszczy, pali. Ucierpiał wtedy mocno i Głuchów, a sąsiednia wieś Miłochniewice została spalona doszczetnie.

W roku 1656 w lutym król szwedzki z wojskiem przechodzi przez Głuchów w pościgu za Czarnieckim, a we wrześniu tego roku, goniony przez Czarnieckiego, wraca. Wtedy to, jakiś mały oddział Szwedzki uciekający przed Czarnieckim, wiózł ze sobą zrabowane gdzieś trzy dzwony kościelne. Głuchowiacy w oka mgnieniu roznieśli między sobą wici, skrzyknęli się uderzyli na Szwedów, pobili ich, a dzwony zabrali. Te zdobyte przez chłopów głuchowskich dzwony, dzwoniły w kościele głuchowskim do roku 1824 — w tym roku przetopiono je na większe.

W roku 1659 posiłkowe wojska cesarskie, stojące w Rawie, dotkliwie rekwirują w Głuchowie — zboże, bydło, żywność.

W czasie wojny domowej z Lubomirskim, stoją w Głuchowie obozem wojska Jana Kazimierza. Przejeżdżał wtedy przez Głuchów i sam król Jan Kazimierz, i niezbyt gościnnie został przywitany tu przez panią Sułkowską — wymyśla mu ona w rubaszny sposób z powodu zniszczenia brzezinki przez wojsko. Pisze o tym w swoich pamiętnikach Pasek.

Więc gdy Panie Sułkowskie wołały do Nieba o pomstę na królu polskim z powodu zniszczenia ich brzezinki (dla potrzeb wojennych) chłopi znosili ofiarnie ciężary wojny, a choć broni im nie dano, to i tak, nieuzbrojeni, rzucali się na najeźdźcę, bili go, w imię ratowania Polski, chociaż Ona im wtedy macochą a nie matką była. Tymczasem historia nasza twierdzi, że przetrzymanie „Potopu" i pokonanie Szwedów to Cud Boski, plus błogosławione szlacheckie rycerstwo, a powieść historyczna, z wielkim Sienkiewiczem na czele, mniemanie to gloryfikuje.

Zasmuceni Głuchowiacy szukają siebie dalej.

„JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA"

W roku 1771 przechodzą przez Głuchów kilkakrotnie wojska konfederackie z Pułaskim i rosyjskie z Drewiczem na czele, a w roku 1792 cofają się tędy wojska rosyjskie wyparte przez Prusaków z Wielkopolski. Podczas drugiego rozbioru Polski dnia 24 lutego 1793 r. Głuchów został zajęty przez Prusaków, a wojsko stanęło tu obozem. W czasie Powstania Kościuszkowskiego 1794 r. przechodzi przez Głuchów i bije Prusaków pod Rawą gen. Madaliński, ale rozbitki wojsk Pruskich nękają Głuchów i okolice w dalszym ciągu. Po upadku Insurekcji Kościuszkowskiej Prusacy wracają i zaczynają tu rządzić żelazną, pruską pięścią.

W roku 1807 przechodzą przez Głuchów wojska francuskie i Legiony. Wstąpił wtedy do Legionów parobek Głuchowskiego Proboszcza — Piotr Zienkiewicz. Henryk Dąbrowski dnia 11 grudnia 1806 roku mianuje proboszcza głuchowskiego Ks. Czajkowskiego Komisarzem cywilno-wojskowym na gminę Głuchów i poleca mu ogłosić z ambony o składaniu podatków na utrzymanie wojska. Podatki te musiały być złożone najdalej w styczniu 1807 r.

W kwietniu 1809 r. przechodzą przez Głuchów wojska austriackie, armi Arcyks. Ferdynanda, pod d-em majora Domańskiego. Austriacy powierzają dzierżawcy klucza Michowice, stolnikowi bracławskiemu Antoniemu Baranowskiemu rekwirowanie bydła i prowiantu, na zaopatrzenie wojsk austriackich i dają w tym celu kilku żołnierzy do dyspozycji Baranowski, waśniący się z proboszczem głuchowskim, mści się „na nim" w ten sposób, że nasyła na chłopów głuchowskich żołnierzy austriackich i poleca im rekwirować tu co najwięcej zboża, bydła, podwód. Niezależnie od tego, wpadają ciągle do Głuchowa stojący w Łowiczu Kozacy. Jedni i drudzy grabią na wyścigi, męczą ludność, gwałcą dziewczęta i młode mężatki. Po tych barbarzyńskich orgiach, zanotowane jest 56 nieślubnych dzieci w parafii Głuchowskiej. Pułkownik Biernacki z korpusu Dąbrowskiego wypiera Kozaków z Łowicza i dnia 30 maja 1809 r. przechodzi przez Głuchów ku Rawie, gdzie pobija Austriaków, zaś dnia 11 czerwca 1809 r. zatrzymuje się kwaterą w Głuchowie Henryk Dąbrowski.

W listopadzie 1812 r. przechodzą przez Głuchów wojska Napoleońskie, a w 1813 r. — wracają. Za nimi przychodzi i dłuższy czas stacjonuje tu rosyjski pułk astrachański Kirasjerów. Pojawiła się wtedy w Głuchowie jakaś nieznana choroba powodująca nagłą śmierć.

A więc w historii tego okresu odnaleźli Głuchowiacy jednego ze swoich — Piotra Zienkiewicza. I choć nie był on jednym chłopem, któremu dostać się do Legionów udało i choć nie był on jedynym, który wyrwać się stąd do Legionów pragnął — on jeden tylko do historii trafił. I to jeszcze nie koniec krzywdzie, jaką historia pisana chłopom w tym wypadku czyni Piotr Zienkiewicz, chłop, ochotnik Legionów, trafił do historii dlatego tylko, że był parobkiem: Piotr Zienkiewicz został wpisany do historii po to, żeby był dowodem wielkiej ofiarności i gorącego patriotyzmu Pana swego, który, pro publico bono, z części inwentarza swego w postaci parobka na parę lat wspaniałomyślnie zrezygnował.

A GDY SIĘ WOJNA SKOŃCZYŁA

— Piotr Zienkiewicz musiał zameldować się (jak Bartos Głowacki) u swego pana i dalej posłusznie pełnić funkcję parobka. — Tak też i uczynił. Jako parobek w roku 1827

(Ciąg dalszy na str. 10)

Anna Kamieńska

PISARZ KLASY BIEDNIACKIEJ



Józef Pogan

Protokóły chłopskiej sprawy. Tak nazwalibyśmy to, co intetresuje nas w pisarstwie Pogana. Nie od parady niejedno tam kończy się policjantem. Dokumentarność tej prozy ma cechy zeznań sądowych. Tylko że na pytanie „kto winien“, Pogan nie odpowiada jednoznacznie, nie wskazuje palcem, nie oczernia jednych, nie idealizuje drugich. Pogan zapisuje, Pogan prowadzi śledztwo w sprawie wsi.

Gdy dzisiaj — po wydaniu drugiej książki Pogana, a więc po „Ugorach“ i po „Cierpkim owocu“, a przede wszystkim w okresie politycznym kończącym etap po reformie rolnej na wsi, wracamy do pierwszych krytyk notujących twórczość Pogana — uderza nas fakt, że krytycy i profesorowie nie mieli zasadniczego narzędzia dla zrozumienia istotnego sensu twórczości pisarza biedniackiej wsi.

Urodziłem się w ubogiej wiosce Jerzmanowice.. Rodzice moi posiadali 6 morgów lichej ziemi. Byli pracowici i zapobiegliwi, lecz mimo to w naszym domu gnieździła się dokuczliwa bieda. Pamiętam ją doskonale. Żadne dziecko gdzieś do ósmego roku życia jeszcze nie miało butów... Sypialiśmy zbitą masą w łóżkach jak śledzie w beczce, na jednym rodzice, w środku między nimi małe dziecko, a jedno w poprzek łóżka, w nogach, na drugim też czworo... Jadaliśmy to, co w każdym domu: na śniadanie jałowy żur z ziemniakami lub kluski jęczmienne z żarnowej mąki, na obiad jak popadło, czasem po kawałeczku kl...aczka z blachy, czasem kapustę, na kolację niemal zawsze bywała wodzianka“. Tak ze zdumiewającą rzeczowością zaczyna Pogan opis swego życia, jedno z najlepszych swoich opowiadań. Z tej sytuacji biedniackiego chłopa Pogan nie może wybrnąć długo. Jego awans umysłowy idzie **na przekór sytuacji ekonomicznej.** Tak więc pozycja społeczna pisarza — Pogana to pozycja chłopa-biedniaka, 6-morgowca na lichej ziemi, żyjącego na jałowych kartoflach i wodziance. Taka bowiem sytuacja ukształtowała jego ogląd środowiska. Pogan nie bawi się obrazem wsi obiektywnym“ i „prawdziwym“. Pogan widzi wieś z pozycji biedniaka. To jest dla nas decydujące i ważne.

Cóż jednak widzieli w Poganie jego pierwsi krytycy? Oczywiście przyłożyli do chłopskiego pióra miarkę krytyczną wycechowaną na europejskiej powieści psychologicznej i „środowiskowej“.

„Pijatyki, kłótnie, swary wypełniają też większość brulionów — pisze jeden z pierwszych krytyków (prof. Spytkowski). Pociągają go — pisze dalej — momenty wyzwalania się odruchów, instyktów, temperamentów“. Ten sam krytyk doszukuje się w naszym pisarzu — chłopskiego moralisty, który jeśli staje po stronie biedoty wiejskiej to dlatego, że po tej stronie widzi „zdrowie moralne wsi“.

We wstępie do „Ugorów“ nie mniej uczony krytyk (prof. Pigoń) nie dostrzega w materii fabularnej Pogana nic innego nad „intrygi i codzienną papraninę wsi“. Zarzuca chłopskiemu pisarzowi „wezizne spojrzenia ku nizinom i cieniom ludzkiego bytowania“. „Igła obserwacji Pogana zwraca się ku biegunowi smutku raczej, niż ku słońcu i pogodzie. „Nawet krytyk (Kałużyński), którego bawi ekonomiczne, balzakowskie podłoże pisarstwa Pogana pisze o jego bohaterach, że ogarnięci są „pasją poprawy swego bytu“. Tak więc kto by chciał na podstawie tej krytyki przedstawić sobie pisarstwo Pogana, umieściłby je w pobliżu literatury **pasji, literatury psychologicznej** w ciężkim sosie ponurego chłopskiego katastrofizmu.

Czytaliśmy następnie we „Wsi“ głębszą, socjologiczną interpretację „Ugorów“ Pogana. Krytyk (Sobieraiski) zwrócił uwagę na trafność przedstawienia wsi w kręgu wpływów 2 instytucji: dworu i plebanii. Wokół tych instytucji układają się chłopskie interesy, według nich orientują się także wewnętrzne antagonizmy wsi.

Dziś moglibyśmy pójść dalej w interpretacji Pogana. Mimo, że wieś nie wyszła jeszcze zupełnie ze sfery czarów plebanii i nawet nieistniejącego już dworu — nie te instytucje decydują o układzie społecznym wsi. Jej wewnętrzny mechanizm to ostra, nie zawsze uświadomiona walka między bogaczem i biedniakiem wiejskim.

Wprawdzie Pogan jako pisarz z prawdziwego zdarzenia, mimo braku literackiej ogłady — stwarza ludzi z pasjami, instynktami i temperamentami. Zajmują go jednak przede wszystkim **interesy międzyludzkie**, obchodzi go przede wszystkim ekonomiczne uwarunkowanie losów ludzi. Wieś w „Ugorach“ wygląda jak wielka kropla wody pod mikroskopem. Oko pisarza — biedniackiego chłopa odkrywa w niej w powiększeniu, jak przez lupę te wszystkie sprzeczności, jakie toczą organizm każdego społeczeństwa kapitalistycznego. Całe życie rodzin wiejskich, całe powszednie dni chłopskie układają się wzdłuż tej zasadniczej linii podziału społecznego wewnątrz wsi. „Biedny i bogaty“ — to tytuł jednego opowiadania Pogana, a mógłby być tytuł całej jego twórczości. Biedny i bogaty. Głodny i syty.

Opowiadania zawarte w tomie „Cierpki owoc“*) podsunęły nam porównanie pisarstwa Pogana do protokółów zeznań sądowych. Dotyczy ono najlepszych z tego zbioru fragmentów beletrystycznych, najbardziej dla pisarza typowych.

Są jednak i poważne wyłomy w tym stanowisku pisarskim, wyłomy w których Pogan przestaje być Poganem i zostaje tylko literackim prymitywem. Należałoby i pisarza i jego czytelników przestrzec przed niebezpieczeństwem polegającym na tym, że literatura bierze się do „opiewania“ pewnych rzeczy wówczas, **gdy robota jeszcze nie skończona**, gdy jak w tym wypadku, nie wolno poprzestać na jednym osiągniętym etapie (reforma rolna), gdy organizacja wsi wymaga nowych, zasadniczych przemian. W tym etapie przydaje się bardziej niż entuzjastyczny obraz gromadzkiego szczęścia, niż dzieje moralnego uzdrowienia człowieka dzięki wojnie i społecznym przemianom — literatura nadal i ciągle krytyczna, analizująca, może „cierpka“, ale zgodna z linią społecznego rozwoju. Weźcie książkę. Pisarz błądzi i psuje wówczas, gdy zdradza swoją pozycję społeczną, pozycję biedniackiego chłopa. Np. w noweli „Dusza skąpca“, stanowisko pisarza jest bardzo dwuznaczne. Bogacz wiejski, młynarz Korzeń scharakteryzowany kapitalnie w ruchu, w stosunku do reszty wsi i najemników ni stąd ni zowąd zaczyna się nawracać. Wojna dopiero odkryła spod skąpstwa i różnych dziwactw prawdziwą duszę tego człowieka“. „przestał palić papierosy — na umartwienie, póki Polska nie będzie wolna“, „każda rozmowa o nieszczęśliwych Polakach łzawiła mu powieki“, częstował wszystkich chlebem i mlekiem, pomagał panom i biedakom, poprawił byt najemnikom, witał radośnie radzieckich żołnierzy i klaskał w ręce z radości na wieść o zadekretowaniu reformy rolnej. I cała wieś odmieniła nagle swoją opinię o bogatym młynarzu. „Przekonali się, że on coś wart. A że jest skąpcem i surowym dla próżniaków — to nic tak złego. Jakim go rodzice wychowali, takim jest. Wychował się w dużym gospodarstwie, przy kole młyńskim, przy koniach i krowach — to chciwy jest na majątek a przez to i skąpy“. Wreszcie w końcu opowiadania zrehabilitowawszy tak bogatego skąpca rozkleja się Pogan zupełnie: „A woda szumi i robi: na skromny żywot rodziny młynarza, na starą odzież, na grzbiety służących, na ciułanie pieniędzy w skrzyni.... Płynie woda wstęgą koło samej chaty, spada spod jej strzechy aż pod przycieś i szumi cicho... Nuci młynarzowi pieśń o pracy i o ciułaniu pienieniędzy na kupkę“...

Jasne jest, że to fatalne potknięcie pisarskie wynika właśnie ze zdrady społecznego stanowiska. To nie chytry młynarz, to sam Pogan przewekslował na tor bogacza i zaśpiewał nam hymn „ciułacki“. To Pogan nagle spojrzał na wieś oczyma młynarza, zadowolonego ze swego losu, na który pracują służący w starej odzieży“ i woda spadająca po kole, nagle wieś wydała mu się jasna, pełna „słońca i pogody“ — a do kreślenia takiego obrazu wsi zachęcał naszego pisarza poważny profesor Pigoń. Nowela jest zła nie dlatego, że zawiodło Pogana pióro; zła, bo sprzedał swoją prawdę pisarską, swoje miejsce społeczne — kawałek fałszywego, zmyślonego „słońca i pogody“.

Podobnie fałszywy i z tego samego powodu jest wydźwięk opowiadania „Nowy żywot“. Proletariusz wiejski, przymusowy emigrant, powraca po latach do rodzinnej wsi. Nie poznaje jej. Wraca, jak do utopii. Zastaje wieś przy szczęśliwych, idylicznych żniwach po podziale ziemi, po reformie. — „Synu, tak powinno być już od dawna, ale magnaci trzymali się mocno z sobą, a chłopi w nędzy i ciemnocie. A teraz polski rząd postanowił inaczej: wydał dekret i — bierz chłopie, co ci się należało... na coś czekał przez wieki. Popatrz wokoło, z jaką ochotą każdy na swoim pracuje“. I tu znowu Pogan zdradził siebie. Znowu przesłonił oczy na tak dobrze mu znaną rzeczywistość wsi i umówił się, że społeczna bieda wsi polegała jedynie na wyzysku przez dwór i wobec tego reforma zlikwidowała źródło wszelkiego „dziania się“ na wsi. Pozwolił sobie na koniec na „łzy szczęścia i radości“.

Wreszcie w noweli „Pod wspólnym dachem“ napotykamy znowu na problem znany już z „Duszy skąpca“: problem narodowy zostaje użyty na usprawiedliwienie potrzebnego pisarzowi, nagle społecznego indyferentyzmu, potrzebnego oczywiście nie pisarzowi biedniackiej wsi, ale pisarzowi wynajmującemu się bogatym młynarzom.

Prześledziliśmy parę przykładów błędów pisarskich Pogana, aby tym bardziej podkreślić walor klasowego stanowiska tego pisarza w jego lepszych osiągnięciach.

Krytyk, który widział w Poganie moralistę — mylił się w argumentacji. Pogan nie wymyślił żadnej „chłopskiej etyki“, ani nie umieścił zdrowia moralnego po swojej stronie, po stronie biedoty wiejskiej.

Kiedy w „Kłótni“ biedak Basoń porzuca myśl zemsty nad bogatym Drabasem — to robi to zapewne nie przez wrodzoną dobroć, a przez szacunek dla morgów.

Zajęty przede wszystkim interesami międzyludzkimi Pogan śledzi postępowanie ludzi i charaktery w ich ekonomicznym uwarunkowaniu. Główną sprężyną postępowania moralnego na wsi, widzi Pogan — **w morgach.** Litość, złość, okrucieństwo i pobożność, cnoty i wady katechizmowe mają swoje korzenie w ziemi, w morgach. Pogan nie twierdzi, że chłopi są z natury źli, ordynarni, okrutni, lub dobrzy i miłosierni. Bogacz wiejski może być dobrym i łagodnym człowiekiem, ale w stosunku do parobka najemnego, do ubogiego sąsiada kieruje się nie cnotami, ale prawami wyzysku. Są to te same, okrutne prawa wielkiego kapitalizmu, które gromadzą po jednej stronie — piękno, dobro i kulturę, a drugą — zbroję do walki i rewolucji. Wszystkie dążenia i wysiłki wsi mają jeden bodziec — ziemia. Być gospodarzem na własnym kawałku — to wzór i ideał życiowy. Kto nie może się utrzymać w ostrej walce klasowej na wsi, kto nie może utrzymać swego działu — zostaje zepchnięty, schodzi między „dziady“ — mówi Pogan — powiększa zastęp proletariatu wiejskiego, powiedzielibyśmy my.

Charakterystyczne, że Pogan nie „widzi“ żadnego środowiska poza wsią. „Między dziady“ — to dla Pogana znaczy społecznie „donikąd“. Obserwując swoją „kroplę wody“, nie ma Pogan wyobraźni i pisarskiego doświadczenia dla środowiska robotniczego czy nawet drobnomieszczańskiego. Kto wie z resztą, czy to nie chroni go od większych błędów, niż wytyczone. Od drobnomieszczaństwa w każdym razie chroni Pogana także jego pozycja społeczna — biedniaka. Stąd dalej do drobnomieszczaństwa, niż z kułackiej wsi. Toteż projekty moralnej powieści ludowej, jakie czytaliśmy w „Kuźnicy“ były projektami powieści dla „ludu kułackiego“. Tej to bowiem części wsi można było przypisać „tendencję do stabilizacji“, „instykt mieszczanienia“ w przeciwieństwie do rewolucyjnej klasy robotniczej. Także „panowie“ występujący u Pogana są jakimiś mistycznymi, „znikąd“ postaciami. Wprowadza je Pogan dla przeciwstawienia wsi — miastu. To przeciwstawienie jednak — klasowo błędne — znów wprowadza Pogana na ideologiczne i artystyczne manowce. Miasto, panowie — to abstrakcyjne rejony, skąd przychodzą ludzie najedzeni, aby patrzeć na pola i kupić poziomki. Wyraźnie jest to znowu sfera obca, pisarskiemu doświadczeniu autora.

W paru znakomitych scenach „Cierpkiego owocu“ przemawia pisarz biedniackiej wsi — chłopski humorysta. Molierowska jest scena z „Kłótni“, gdy wśród sąsiedzkiego sporu przez płoty o kury — biedak Basoń klęka na ziemi i przedrzeźnia bogacza Drabasa, naśladując jego ruchy w kościele: „Hoho, nie ciesz sie, ze cie ta świętokradzko spowiedź zbawi, abo to całowanie posadzki i różaniec. Świętoszek zatracony, jak wlezie do kościoła, to już tak miłosiernie patrzy do ołtarza, tak rącki składo, tak wzdycho — wołał Basoń, naśladując ruchy Drabasa w kościele... „Basoń klęcząc wyciągał złożone ręce do góry, to znów uderzał się w piersi, wzdychając i całował ziemię przedrzeźniając tym pobożnego sąsiada.... O Jezu..., O Matko Bosko... Boże, bądź miłościw mnie grzesnymu...“.

Poczucie humoru nie opuszcza Pogana w najbardziej napiętych i — z pewnością — najlepszych momentach jego literackiej roboty. Bo tam, gdzie jak w paru przykładach, daje się unieść sentymentalizmowi (wykazaliśmy, że społecznie **znaczącemu**) lub załapanej z lektury cudzej konwencji literackiej (fatalne zakończenie noweli „Cierpki owoc„ ściągnięte z Reymonta — śmierć Boryny), przestaje być humorystą, przestaje być Poganem.

„Cierpki“ bowiem *humor Pogana jest także* klasowy, jak to stwierdza nawet tak „obiektywny“ krytyk jak Kazimierz Wyka, gdy pisze w „Twórczości“:„ Najmocniej z tego talentu utrwalały się zapewne takie jego oznaki, jak umiejętność podpatrzenia cudzego gestu, podchwycenia tonu, wewnętrznej prześmieszki z możniejszych i bogatszych. Typowe środki obronne człowieka upośledzonego, który jeśli je posiada, broni się nimi, często nieświadomie“.

„Klasowy“ humor Pogana objawia się przede wszystkim w języku (znakomita „Kłótnia“) a także w czymś więcej. Mianowicie Pogan tak piętrzy losy swoich ludzi, tak konstruuje sytuacje, że sugeruje nonsensowność organizacji życia, w którym możliwe są np. takie „niedołężne małżeństwa“ lub dzieje Stasi. Ustrój dotychczasowy wsi, doprowadzony do absurdu — to jeden z najlepszych, satyrystycznych chwytów Pogana.

*) Józef Pogan „Cierpki owoc“, „Książka“, 1948.

Jak chłopi głuchowscy siebie w historii szukają

(Dokończenie ze str. 9)

zmarł, na cmentarzu głuchowskim został zakopany i zapomniany tak samo, jak i tamci chłopi - żołnierze, których nazwiska do historii nie trafiły.

Za Tą samą więc, którą Targowiczanie za judaszowe srebrniki sprzedawali, chłopi leli krew, żeby „nie zginęła“; za tą samą, ale pewnie, nie za taką samą? We wspólnych okopach z francuskimi żołnierzami musieli, chłopi nasi, nauczyć się coś z Marsylianki. Ale nic z tego. Bo gdy szło o wybicie Marsylianki z chłopskiej głowy, wszyscy panowie polscy podawali sobie ręce — świeccy i duchowni, Targowiczanie i wczorajsi ich przeciwnicy. Toteż i w Głuchowie, chociaż panem tej wsi był ksiądz, nie było inaczej, niż gdzieindziej.

Oto dnia 23 lipca 1822 roku, chłopi głuchowscy, przez Urząd Gminy Głuchów, wnoszą zażalenie do Komisarza Obwodu Rawskiego: że proboszcz głuchowski Ks. Michałowski ściąga za dużo dziesięciny: za dużo mierzy miarą, za dużą normę wyznacza i za drogo liczy w pieniądzach, bo aż po 18 złotych za korzec, gdy tymczasem w handlu korzec kosztuje tylko 12 złotych. Ksiądz Michałowski odpiera te zarzuty (na piśmie) tak: rok 1821 był bardzo nieurodzajny, ludność nie miała zboża i nie dała pełnej dziesięciny w naturze ani też za nią pieniędzy. Toteż „w roku 1822 ksiądz nie może być stratnym tego, czego nie dostał zeszłego roku“. Co do miary: „— nie przywiozłem jej z sobą do Głuchowa, zastałem taż samą, na która od niepamiętnych czasów meszne oddawali; najstarsi ludzie w obydwu parafiach znają ją — dawniejsza ona jest, niżli Królestwa Pruskiego exystencja, przeto jej bez krzywdy funduszu kościelnego naruszeń — zmieniać nie mogę... doświadczająca się niewdzięczność i złośliwość przeciw swemu pasterzowi, zbuntowanie się morduje cierpliwości i zmusza stosowne o zupełną kościołowi należytość rozpocząć kroki“.

I pewnie „stosowne kroki“ ksiądz„ dobrodziej“ poczynił, bo notatka z dnia 31.12.1822 r. stwierdza, że zaległa dziesięcina kościołowi Głuchów oddana została. — A przecież nawet zaborca, nawet okupant, w wypadku klęski nieurodzaju, od podatku zwalniał.

Taka to „niewdzięczność i złośliwość przeciw swemu pasterzowi doświadczyła się“ tutaj już dnia 23 lipca 1822 r. ale została zgaszona i tłumiona była jeszcze przez następnych 122 lat.

Niestety ani Piotr Zienkiewicz, ani inni chłopi historii tamtych czasów nie napisali, bo pisać nie umieli, nie opowiedzieli jej ustnie, bo usta mieli zakneblowane, nie mogą sprostować jej dzisiaj, bo już nie żyją. Jest to już tylko, historycy, w waszej mocy.

PRZECIW ZABARCOM

Zdawało by się, że — wobec tego wszystkiego, co się w Polsce z chłopami „doświadczało“ — powinni byli wszyscy chłopi odpowiedzieć na powstania zbrojne solidarnie i tak, jak — Deczyński Kruczkowskiego. Odpowiedzieli inaczej — rozmaicie.

Antoniego Jezorańskiego, którego oddziały w okolicach Głuchowa działają, nazywali tu chłopi „Nasz Major“. A był wtedy w kuźni głuchowskiej Niemiec — kowal Golieb. Staje się on szpiegiem moskiewskim — donosi o ruchach powstańców i o współdziałaniu chłopów z powstaniem. Zostaje za to w sąsiednim lesie powieszony na dębie. Starzy Głuchowiacy, z Kordalem Jędrachą i 95-letnią Hałatką i dziś jeszcze twierdzą że dąb ten od tej pory wcale nie rósł, bo zawisł na nim zdrajca.

Grasują często w Głuchowie Kozacy pod d-em pułkownika Dawidowa. Za współdziałanie wsi z powstaniem, za przechowywanie i nocowanie powstańców, pobili Kozacy w okrutny sposób wójta Kowarę, sołtysa Hycaka i gospodarza Botula — wszyscy trzej chłopi głuchowscy.

Starzy ludzie twierdzą, że przebywał tu i Romuald Traugutt.

Po rozgromieniu powstania, dnia 17 stycznia 1864 r., akta powstańcze zostają oddane na przechowanie Żydowi głuchowskiemu — Herszkowi Daumowi, który później przewozi je w ukryciu do Krakowa.

A na cmentarzu głuchowskim leży gdzieś Kazimierz Kaszubski, 50-letni chłop, powstaniec 1863 roku, powieszony przez carskich siepaczy i zapomniany w historii jak i jego poprzednik Piotr Zienkiewicz.

A kiedy była Pierwsza Wojna Światowa w 1918 roku, rozbrajali tu głuchowscy chłopi Niemców. A potem była walka chłopów głuchowskich, pod d-em zarządcy Marcina Wasilewskiego, o sprawiedliwość społeczną w Polsce. A potem — barbarzyńska okupacja i Bataliony Chłopskie, krzyżackie wymordowanie dziesiątków Głuchowiaków, a między nimi, i Marcina Wasilewskiego. Tych już historia nie zapomni, bo Ta, co „nie zginęła“, inną, swoją — Ludową wreszcie jest.

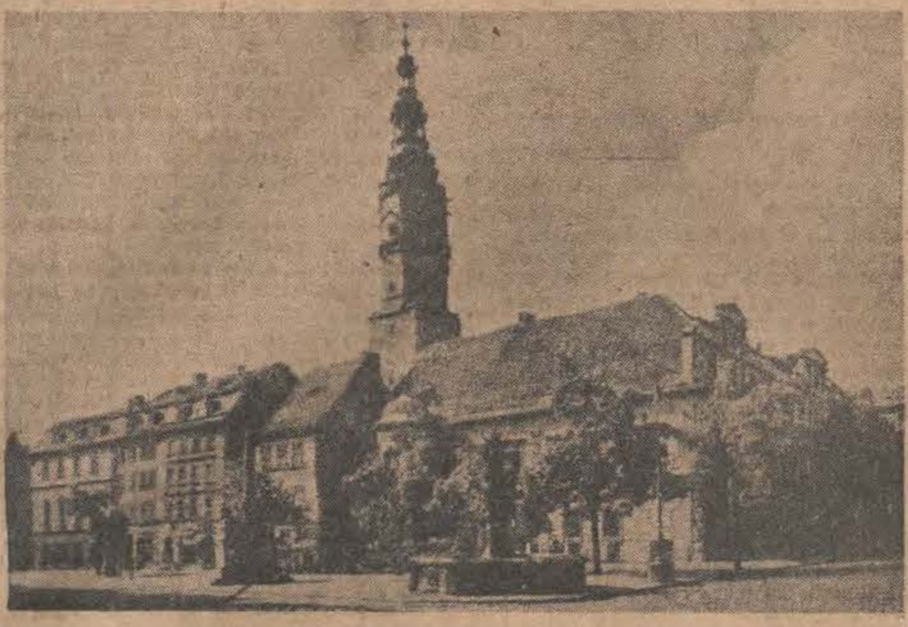
Ale zanim swoją Ją uczynił, wylał chłop za Nią i dla Niej, na przestrzeni dziejów, morze potu, łez i krwi. To, cośmy odnaleźć zdołali, to jeno drobne, luźne paciorki, jakiejś zagubionej, rozrzuconej i zapomnianej, jednej wielkiej całości. Odnajdźcie ją i odtwórzcie — sprawiedliwości i prawdzie czyniąc zadość — oto, do Was historycy polscy, gorący apel chłopów, do waszego społecznego sumienia. Gdy tego dokonacie, wieś polska zatętni bujnym, twórczym życiem jak łan, który przecierpiał długie susze, jak bór, który przetrzymał straszne huragany. Bo żeby naród nasz dnia dzisiejszego nie przetrwonił, a tymbardziej — żeby sobie rozumnie jutro wyznaczył, musi dobrze poznać to, co było wczoraj.

A odkrywanie dnia wczorajszego — do was należy.

Adolf Olechnowicz

Karol Maleczyński

JAK SIĘ ŚLĄSK GERMANIZOWAŁ



Świdnica — ratusz

ZNIEMCZENIE terytorium pierwotnie czysto polskiego Śląska, zwłaszcza Górnego, a w dużym stopniu Średniego i Dolnego, miało inny przebieg i odmienne losy niż podobny proces, jaki odbywał się współcześnie na przestrzeni XIII—XIX w. na sąsiednim Pomorzu Zachodnim i Ziemi Lubuskiej. Jeśli na północ od Warty i Noteci na przestrzeni sześciu wieków niemczyzna postawiła swą obutą stopę tak silnie, że dziś ledwie z trudnością daje się wyłowić ślady polszczyzny na tym terenie, to inaczej było nad górną i środkową Odrą. Tu, mimo, że kraj ten prawie równie długo znajdował się pod panowaniem niemieckim i pruskim, jesteśmy świadkami nie tylko utrzymania się w dużym procencie żywiołu polskiego (dla całego Śląska procent ten wynosił w 1905 r. 25,46%, tj. okrągło 1.311.000 osób), do ostatnich czasów przed pierwszą wojną światową, ale co więcej faktu, którego nawet najbardziej stronnicza i zakłamana nauka niemiecka nie była w stanie przemilczeć: powiększania się bezwzględnego i procentowego ludności polskiej na tym terenie.

Jak dokonał się na Śląsku ten proces germanizacyjny na przestrzeni wieków XIII—XIX? Czy mamy tu do czynienia z powolnym podświadomym, częściowo zrozumiałym z punktu widzenia socjologicznego i wyznawanym bez zastrzeżeń przez naukę niemiecką (ostatnio Laubert) faktem przyswajania sobie przez tubylczą ludność słowiańską wyższej niewątpliwie kultury niemieckiej. Czy też zniemczenie kraju położyć wypadnie wyłącznie na karb świadomej germanizacyjnej polityki austriackiej a później pruskiej, która przez rząd, kościół, szkołę i nacisk ekonomiczny doprowadziła do zastraszającego zmniejszenia się stanu posiadania polskiego w XIX wieku. Czy dalej należy się liczyć z inną ewentualnością, że mianowicie germanizacja znacznej części Śląska (zwłaszcza miast, a w dużej części i wsi) dokonała się szybko, można rzec gwałtownie jeszcze na przestrzeni wieków średnich (XIII—XV w.), a czasy nowsze, poza krótką epoką intensywnej polityki germanizacyjnej Fryderyka Wielkiego i epoki Kulturkampfu Bismarcka, były raczej epoką utrzymywania się niemczyzny na dawnym poziomie, niż zwycięskim jej naprzód pochodem. Taką teorię wyznaje szowinistyczna starsza nauka niemiecka (Seidel, Meinardus, L. Schulte), a powtarza ją bezkrytycznie i część nauki polskiej. Nieliczni tylko uczciwsi Niemcy (Weinhold), częściowo Partsch, a z dawniejszych Zimmermann) i ostrożniejsi badacze polscy (Tymieniecki) wyrażali zdanie, bądź, że proces kolonizacji Śląska żywiołem niemieckim pozostanie zapewne na zawsze pokryty mgłą tajemnicy, bądź że jeszcze w końcu XIII w. proces germanizacji kraju był ledwie rozpoczęty i że kolonizacja wsi śląskiej na prawie niemieckim w słabym tylko stopniu powodowała napływ Niemców na nasze terytorium i że wobec tego germanizacja kraju szła innymi drogami niż to zwykła przyjmować stronnicza nauka niemiecka.

Drugim problemem, rozstrzygniętym dzisiaj bodaj w jeszcze mniejszym stopniu niż poprzedni i można powiedzieć dopiero niedawno w nauce niemieckiej i polskiej postawionym, jest inne pytanie. Mianowicie zagadnienie: jakie z dwóch panujących na Śląsku wyznań, katolickie czy protestanckie, przyczyniło się w większym stopniu do zachowania polszczyzny na Śląsku i odwrotnie; które prowadziło silniejszą politykę germanizacyjną? Odpowiedzi na to nie dali do dziś sami Niemcy, choć winno ono ich specjalnie interesować. Najwyżej często skłonni są przypisywać duchowieństwu katolickiemu narodowości polskiej rolę rzeczywistego germanizatora ludu, stojąc na stanowisku, że księża śląscy-Polacy aż do siedemdziesiąt lat zeszłego stulecia stali wiernie po stronie króla i rządu pruskiego. Nic bardziej fałszywego i perfidnego od takiego twierdzenia, które pozornie może mieć wiele danych za sobą. Przecież, co bardziej gorliwy Polak-ksiądz śląski wysyłany bywał do Poznańskiego lub na piaski brandenburskie, a na samym Śląsku stosunek duchowieństwa polskiego (w części oczywiście obojętnego) do niemieckiego wyrażał się w r. 1890 cyframi 53 do 917, czyli około 17%, kiedy procent ludności polskiej był znacznie wyższy. Jeśli dodamy do tego okoliczność, że pionierowie odrodzenia polskiego na Śląsku w XIX w. rekrutowali się w przeważnym procencie (Gałeczka, Ficek, Szafranek i inni) spośród tutejszego duchowieństwa, to stwierdzić trzeba, że rola duchowieństwa polskiego na Śląsku w procesie germanizacyjnym kraju wymaga jeszcze bliższego zbadania.

Trzecim wreszcie zagadnieniem, najlepiej może rozpracowanym przez naukę tak niemiecką jak polską, ale z którego żadna ze stron nie wyciągnęła ostatecznych wniosków, jest bliższe zbadanie przesuwania się granicy niemczyzny na wschód, a cofania się przed nią żywiołu polskiego. Nauka niemiecka (Zimmermann, Triest, Hundrich, Peuckert, Partsch, Laubert) na podstawie oficjalnych spisów niemieckich (jakkolwiek tendencyjnych, zwłaszcza w ostatnich czasach), stosunkowo ściśle i rzeczowo ustaliła granicę zasięgu terytorium o przewadze niemieckiej dla poszczególnych okresów (r. 1790, 1844, 1890, 1905, 1941), dając tym samym na pozór ścisły, a w rzeczywistości spaczony i krzywy obraz cofania się żywiołu polskiego przed naporem fali germańskiej, i głosząc z triumfem zwycięstwo Herrenvolku nad ludnością niewolniczą słowiańską. Na pozór tak mogło by się wydawać; granica językowa polsko-niemiecka na przestrzeni 150 lat cofnęła się rzeczywiście spod Wrocławia i Trzebnicy na Namysłów i Skorogoszcz. Ale to zwycięstwo niemczyzny na drobnym stosunkowo odcinku nie zmienia faktu, że na innych Niemcy ani na krok nie posunęli się naprzód. Co więcej nauka niemiecka przemilcza często wstydliwie fakt, że zawsze i wszędzie po obu stronach narodowościowej i językowej linii granicznej, istnieje szeroki pas o ludności mieszanej, o przewadze ludności niemieckiej na zachód od linii, i polskiej na wschód. Po stronie niemieckiej nasilenie elementu polskiego dochodziło w niektórych okolicach do 40%, a rzadko spadało poniżej 5%. Ten szeroki pas żywiołu polskiego po stronie niemieckiej bywał tylko zrzadka i fragmentarycznie na niemieckich mapach narodowościowych zaznaczany (Partsch); uczeni ci nie brali go nigdy pod uwagę w swych wywodach, mimo iż był on dosyć znaczny i mimo, że pod naporem fali niemieckiej cofał się na wschód znacznie powolniej, niż sama linia graniczna. Co więcej fakt ten stanowił dla Niemców nieraz zagadkę, jak np. mógł utrzymać się do końca XVIII w. zwarty półwysep żywiołu polskiego w powiecie oławskim, wzdłuż ważnej drogi handlowej, narażony zewsząd na ataki niemczyzny. Co więcej ta sama nauka niemiecka przyciśnięta do muru wyznaje, że nawet na silnie w XIX stuleciu zgermanizowanym Dolnym Śląsku, na obszarze wszystkich 46 powiatów b. rejencji legnickiej i wrocławskiej dawał się w roku 1905 stwierdzić większy lub mniejszy odsetek ludności polskiej, wahający się od 38,29 i 26,73% w powiatach sycowskim i namysłowskim, do 0,20 i 0,22% w pow. wałbrzyskim i bystrzyckim. Nie może być zadaniem niniejszego krótkiego artykułu danie odpowiedzi na wszystkie postawione wyżej pytania i wątpliwości: wymaga to pracy wielu pokoleń, na co nauka polska pracująca nad tymi zagadnieniami dopiero od niedawna nie może odpowiedzieć. Ale nawet prowizoryczne, poniższe uwagi będą świadczyć, jak zakłamanymi argumentami posługiwali się Niemcy i jakie fałsze puszczali dalej w świat, jako że oni jedynie byli informatorami zachodu Europy o naszych zagadnieniach.

Nawet najbezstronniej stwierdzona przez Niemców linia graniczna polsko-niemiecka tak jak formowała się na przestrzeni 150 lat (1790—1940) nasuwa wiele ciekawych spostrzeżeń. W końcu XVIII w. przebiegała ona z północy na południe od miejscowości Sulmierzyce koło Milicza linią krętą aż pod Strzelin nad Oławą, tworząc dwa wysunięte na zachód cyple: koło Trzebnicy i Pawłowic i koło Domasławia na południe od Wrocławia. Dwie ostatnie miejscowości leżą na równej z nim długości geograficznej. Od Strzelina granica polsko-niemiecka biegła wschodnim brzegiem Oławy ku Odrze, którą opuszczała przy ujściu Nysy kłodzkiej, aby przez Skorogoszcz Frydland, Białą i Głupczyce dojść w pobliże Racibora i do Bohumina. Otóż jest rzeczą ciekawą, że na przestrzeni 150 lat granica ta na południe i północ od Odry nie uległa większym zmianom, w kilku punktach tylko przesuwając się na około 10 km na wschód, a w innych cofając się nawet na niekorzyść niemczyzny na zachód. Jedynie w środku, nad Odrą zlikwidowane zostały w tym czasie wspomniane wyżej dwa półwyspy polskie koło Trzebnicy i Domasławia, tak, że granica przebiegała w r. 1905 mniejwięcej linią prostą od Bogdaja przez Międzybórz, Syców, Podgrodzie Namysłowskie, Karłowice do Odry i Skorogoszcza. W r. 1940 zastajemy ją przebiegającą przez te same wszystkie miejscowości z nieznacznymi tylko odchyleniami ku wschodowi. Tak więc mimo zaciętej walki Hakaty i niemczyzny hitlerowskiej, mimo ucisku kościelnego, szkolnego i administracyjnego, pomocy baronów węglowych niemieckich, lud śląski trwał wciąż na posterunku walcząc o każdą piędź ziemi.

Po ustępującym ku wschodowi obszarze zwartego elementu polskiego pozostawał, jak wspomniano wyżej szeroki pas mniejszości polskiej, zachowany do ostatnich prawie czasów. I rzecz znów przemilczana starannie przez Niemców. Do r. 1905 kilkadziesiąt wsi w pow. wrocławskim, zwłaszcza na południe od miasta, nieraz u samych jego wrót wykazywało wciąż od 5% do dwudziestu paru i więcej ludności polskiej (Widawa 20 proc., Sośnica 7,4 proc., Piotrkowice 11,5 proc., Krobielowice 18 proc., Brzeście 24 proc. itp.). Podobnie stosunki spotykamy w legnickiem, lubińskiem, średzkiem, nawet zielonogórskiem i kożuchowskiem, które wprost upstrzone są plamami polskimi, starannie tajonymi przez Niemców, którzy ani pozwalali domyślać się, ile procentowo ludności polskiej pozostało po tamtej stronie granicy językowej.

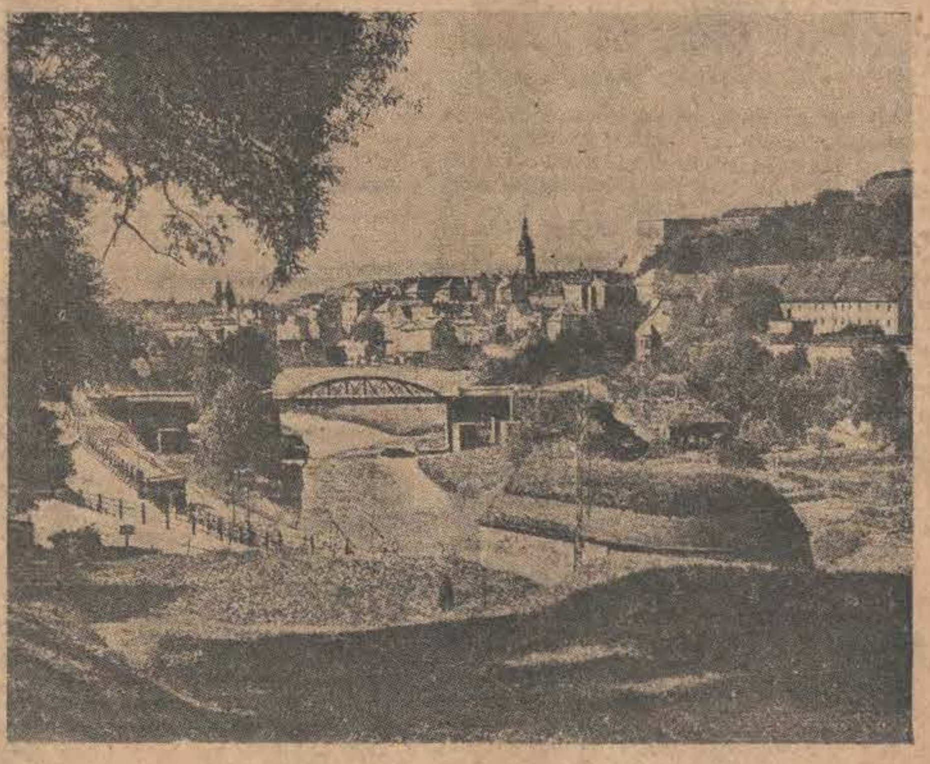
A jak przedstawiał się stosunek procentowy ludności polskiej do niemieckiej na Śląsku w XIX w.? I tu sami Niemcy znów nieraz przyznają się do klęski na polu populacyjnym. W pierwszej połowie XIX w. żywioł polski był w stałej przewadze i posiadał skłonność do wzrostu (z 63% w r. 1828 na 34% w r. 1844). Na Śląsku Górnym w r. 1866 procent ludności polskiej wynosił już tylko 61%, w r. 1905 spadł nieznacznie do 56,9% dla całego Śląska cyfry te brzmią: r. 1900 — — 23,4%, 1905 — 24,6%, rok 1910 25 proc.). Jeśli więc widzimy na całym Śląsku wzrost żywiołu polskiego, to parę charakterystycznych przykładów z terenów poszczególnych powiatów i miast poprze to jeszcze silniej. W latach 1900—1910 wzrosła liczba ludności polskiej w powiatach Milicz, Trzebnica, Wołów i Gurów z 2260 na 6184; w pow. głowoskim, kożuchowskim i zielonogórskim z 1967 na 4483; a w rejencji legnickiej z 0,5% na 1,26%. W samym Wrocławiu ilość ludności polskiej obliczana w r. 1905 na 6000, wzrosła w r. 1920 do 11 000, a w r. 1921 do 20.000, stanowiąc w r. 1905 około 1,2% ludności, a w r. 1921 już 4%. Tak więc żywioł polski mimo ucisku germanizacyjnego znajdował się w końcu XIX w. na Śląsku w marszu zwycięskim naprzód, marszu z którym liczyli się sami Niemcy, marszu spotęgowanym jeszcze emigracją niemiecką ze wschodu na zachód do Rzeszy, który sprawiał, iż niektóre miejscowości Śląska na przestrzeni kilkudziesięciu ostatnich lat przed drugą wojną światową nieraz wyludniały się, a w najlepszym razie ludnościowo nie rozwijały się zupełnie.

A jak było przed końcem XVIII w., z którego posiadamy ledwie ubogie dane cyfrowe? Tu w braku danych skazani jesteśmy tylko na luźne wzmianki i cyfry szacunkowe. Ogólnie tylko możemy podnieść pewne cyfry. I tak około r. 1787 szacował minister pruski dla Śląska Hoym ilość Polaków na 200 000, tj. około 11,7% ówczesnej ludności Śląska (1.700 000 głów). Cyfra ta oczywiście niedociągnięta, ale nawet dwukrotnie skorygowana świadczy dobitnie, że niemczyzna na Śląsku na przestrzeni 120 lat nie wiele postąpiła naprzód.

A czasy jeszcze wcześniejsze? Bartłomiej Stein, który dał pierwszy opis Śląska z roku 1512, uważa rzekę Odrę i Nysę kłodzką za linię graniczną między ludnością polską a niemiecką, co by znów na południu odpowiadało mniej więcej linii granicznej, jaką obserwujemy jeszcze w r. 1905. Na odcinku górskim, na glebie uboższej ludność niemiecka nie kwapiła się z wydzieraniem ziemi Polakom, a cały swój wysiłek skierowała na północ.

A jeszcze wcześniej, w XIV i XV w.? Dane są coraz skąpsze, ale bodaj coraz bardziej wymowne. Np. w takim Wrocławiu, gdzie w świetle opinii niemieckiej już w XIV w. panowała wyłącznie niemczyzna, wybuchły w r. 1429 rozruchy, jako odpowiedź na skasowanie przez Niemca Jodoka Ziegenhalsa, opata klasztoru kanoników regularnych na Piasku kazań polskich w kościele. Widać, że liczba żywiołu polskiego nie była tak znikoma, jak to chcą Niemcy, owszem była na tyle liczna, iż mogła dać wyraz swemu oburzeniu w formie rewolucji, co więcej tak silnemu, iż zwróciło uwagę kronikarza niemieckiego. A kazania polskie przy kościele protestanckim św. Krzysztofa w tym mieście utrzymały się mimo polityki eksterminacyjnej Fryderyka Wielkiego, do r. 1830, a w katolickim kościele św. Krzyża do r. 1939. Tak więc wyglądał Wrocław. A znow takie Gliwice na Górnym Śląsku — centrum niemczyzny w końcu XIX wieku, ognisko przemysłu kującego broń przeciw Europie. Wedle samych Niemców w roku 1534 było w mieście 113 obywateli niemieckich, a 44 Polaków, tj. ilość tych ostatnich wynosiłaby 28%. Natomiast według oficjalnego spisu niemieckiego z r. 1890 ilość Polaków w tym mieście wynosiła 32,76%, a w r. 1900 jeszcze 30,21%, a w r. 1905 — 21,6%. I tu więc możemy na przestrzeni czterech prawie stuleci obserwować przyrost ludności polskiej. Co więcej możemy z całą pewnością stwierdzić że dawna ludność niemiecka z połowy XVI w. uległa na przestrzeni tego czasu polonizacji, a polor zewnętrzny germański nadawała miastu nowa fala niemiecka, która poczęła się tu osadzać dopiero w ciągu drugiej połowy XIX w.

Tak przedstawiałby się w najogólniejszych zarysach problem germanizacji Śląska na przestrzeni siedmiu wieków. Widzimy wiele smutnych objawów, ale wiele i momentów pocieszających. Niemczyzna niewątpliwie zwyciężała, nadawała stempel swój całemu życiu publicznemu i ekonomicznemu kraju, a zwłaszcza miast. Ale pod tą powierzchowną falą biło wciąż serce polskie ludu śląskiego, który niekiedy na przestrzeni 500 lat nie dawał się zepchnąć ani o krok. Polak śląski wygnany z urzędu, kościoła, sądu i szkoły, chronił się w zacisze domowe i tylko w czasie oficjalnych spisów ludności, fałszowanych zbyt często przez rząd pruski mógł dawać wyraz temu, kim był i za kogo się uważał.



Kłodzko

Walka o metodę

Ciekawy i słuszny — szczególnie dziś — artykuł Adama Ważyka zamieściła w ostatnim 39 (160) numerze „Kuźnica". Artykuł mówi o sprawie realizmu w literaturze i o metodzie badań literackich. Łączy zagadnienie rozumienia realizmu z metodą. I robi słusznie. Ale artykuł mówi jeszcze coś. O jakiejś — zupełnie nielogicznej ewolucji badaczy literatury i kultury w ogóle. „Na początku było wołanie o rozumne myślenie, o sprawdzalność sądów — pisze Ważyk. — I stawił się na apel rozumnie myślący drobnomieszczański empiryzm. Przestano mówić o metodzie marksistowskiej. Huczek natomiast narobiła metoda socjologiczna. („Metoda socjologiczna to taki zwierz co przypomina marksizm, ale zwierz oswojony, bez pazurów i rogów"). Czyżby się wstydzono terminu „marsksizm". Ważyk woła o nawrot do metody marksistowskie, — jasny i otwarty. Dowodzi słusznie konieczności odrzucenia wszelkich drobnomieszczańskich naleciałości metodologicznych i intelektualnych.

„Jan Kott dojrzał w „Lalce" Prusa bodajże jedyną u nas powieść mieszczańską, która ma cechy wielkiego realizmu. Czytałem pracę Kotta kilkakrotnie, zawsze z taką samą satysfakcją. Rozprawa Kotta wywołała polemikę. Czytałem ją również kilkakrotnie — z coraz to głębszym przygnębieniem. Język marksistów jest niezrozumiały dla profesorów, docentów, asystentów nauk humanistycznych. Trzeba długiej przewlekłej walki o metodę. Uderzało mnie to, że polemika z Kottem rownocześnie , choć mimo woli autorów, obdzierała Prusa z cech wielkiego realizmu. Nasza humanistyka posługuje się wieloma instrumentami, ale żaden z nich nie pozwala odróżnić losu klas społecznych od inteligenckich dramatów psychologicznych, obrazu przemian — od obrazu kamienicy warszawskiej. W tych instrumentach prawda realizmu i pospolite prawdziwostki naturalistów wyglądają jednakowo. Niepodobna spostrzec przysłowiowego słonia. Bo nie należy szukać słonia pod mikroskopem".

Ważyk stawia więc problem walki o czystą metodę marksistowską. Słusznie, bardzo słusznie. Szkoda tylko, że tak późno. Ważyk mówi tylko o literaturze. Trzebaby jednak sprawę rozszerzyć na inne nauki humanistyczne — historię, socjologię, filozofię. Bo nie uda się zapewne udoskonalić metody badań literackich bez równoległego rozpracowania metody marksistowskiej w innych dyscyplinach humanistycznych. **K.S.**

„Czynnik duchowy"

Ataki przeprowadzane w 20-leciu na cywilizację przemysłową, na „scientyzm" i „technicyzm" zaczynają odżywać. Akcję podjęli tym razem katolicy. Niedawno pojawił się w Tygodniku Powszechnym (oczywiście na pierwszej stronie) artykuł Zbigniewa Radzima „spiczaste czapki abrakadabrystów". Czego tam nie ma? Wieża Babel jako symbol współczesnej kultury i cytaty niemieckich idealistycznych socjologów i wspomnienia o „orientalno barakowym kokietowaniu przeznaczenia" i wreszcie jakieś matematyczne symbole mające w ułamku ukazać tajemnicę wszechbytu. Czemu mają służyć te niekończące się wywody, o których najbardziej tolerancyjni, najbardziej łagodnie mówią, że są mętne? Jakie wnioski możemy wyczytać?

Otóż mieszczańska tradycja naukowa XIX wieku zapomniała rzekomo o „czynniku duchowym" o „złotym rogu", najlepszych podobno metodach ujmowania rzeczywistości. O co więc chodzi? O kryzys bieżącej kultury. Jakiej kultury? O tym p. Radzimo nie mówi, jak nie mówili inni jego poprzednicy o znanej już tradycji. Przestraszony drobnomieszczański literat widzi koniec świata, chce potępić te wszystkie zjawiska, które wytworzyły obecną sytuację. Czy ma drogę wyjścia? Owszem, czy w przemianach społecznych? Skądże? Kryzys duchowy, a więc środki zlikwidowania powinny być też duchowe. Hasło pana Radzima jest właściwie niesłychanie konformistyczne, ba bardzo potulne. W ramach jego systemu przebudowa ducha musi rozwijać się w ramach już istniejącego systemu. **A. IV.**

Świat oglądany z konfesjonału czyli coś dla dewotek

Pod takim tytułem ogłasza w Tygodniku Powszechnym Zofia Starowieyska-Morstinowa — recenzję pierwszego tomu Jasnych książek. Jest to powieść Władysława Jana Grabskiego pt. **Konfesjonał.**

„Konfesjonał" jest drugą częścią większej „powieściowej wspólnoty", której część pierwszą **„W cieniu kolegiaty"** ukazała się jeszcze przed wojną zdobywając sobie z punktu widzenia sukces czytelniczy".

Po „kolegiacie" „konfesjonał" — powinszować startu katolicyzm przedwojenny był najbardziej indolentnym w sprawach społecznych katolicyzmem w Europie. Uprzywilejowana pozycja Kościoła w Polsce przesądzała o drzemce dogmatycznej.

P. Morstinowa z przekąsem mówi o świętobliwych typach księży w powieści katolickiej Zachodu.

„Od jakiegoś czasu przyjął się w literaturze katolickiej, tak polskiej jak i zagranicznej, typ świętego — przede wszystkim świątobliwego kapłana — którego świętość objawiała się w pierwszym rzędzie tym, że jest on „zgorszeniem" już nie tylko dla otoczenia, ale i dla swych władz, dla całej kościelnej hierarchii. I podobnie jak znudził sie nam powieściowy typ katolika, który „modli się pod figurą" itd. (już czasem miałoby sie ochotę, po prostu dla urozmaicenia, wprowadzić w te powieści „demaskujące" faryzeizm typ człowieka, który modli się i jest prawdziwie porządny), tak samo zaczął się przejadać typ księdza, którego tępią wszyscy, bo nikt nie może zrozumieć jego ubóstwa, bezinteresowności i innych cnót ewangelicznych. Taki typ świątobliwego księdza pozostającego z reguły w rodzaju wojny ze swymi władzami, jak np. typ księdza w „Kluczach królestwa" Cronina już naprawdę się ograł bo choć czasami mógł znaleźć oczywiście „pokrycie" w życiu, nie wyczerpywał innych aspektów świętości i przez to stawał się monotonny".

Ale p. Morstinowa zapomina, że pojawienie się tych typów uwarunkowane było sytuacją społeczną katolicyzmu walczącego, próbą rewizji systemu stosowanych norm w obliczu napierających trudności.

Grabski zerwał podobno z tym szablonem. Jego świątobliwy ksiądz jest zdrowy, przystojny, zawsze czysto ubrany, umyty i uczesany. Świętość jego polega „po prostu na zwykłym pełnieniu swych obowiązków nałożonych mu przez jego władze. Że wypełnia je bardzo sumiennie i gorliwie, właśnie tak jak życzą sobie i pragną jego zwierzchnicy, że siłę do swej pracy czerpie z bogatego życia wewnętrznego — dlatego jest świątobliwy".

Doprawdy wzruszenie nas ogarnia na myśl o tym, jaką to świętobliwość aplikują Jasne książki katolikom, jeśli zważymy, że na czoło wysuwają się cnoty bardzo istotne dla dewotek, a następnie że ścieżką do świętości jest idealne posłuszeństwo dla kard. Sapiechy i kard. Hlonda.

Cała reszta książki zalecana przez Morstinowa jako przekrój życia jak można wywnioskować z recenzji — jest pospolitą, przykrojoną do potrzeb tychże dewotek — metafizyką grzechu **Br. U.**

FAKTY i ZDANIA

Ucieszne Bobo

Chorągiew Łódzka ZHP urządziła na obozie w Barkowicach koło Sulejowa ognisko. Wieść gminna mówiła, że jest to ognisko robione z myślą o pożegnaniu miejscowej ludności. Bardzo mnie to zainteresowało. Na zjednoczeniowym Kongresie Młodzieży słyszałem bowiem powitalne przemówienie druchny Dewitzowej, która bodajże jest komendantką Główną ZHP. Słyszałem wtedy zapowiedź harcerskiej „Służby Polsce", o przyjęciu obowiązków rzeczowego działania, o zerwaniu z zabawową wyłącznością i „badenpowellizmem". Trącałem wtedy kolegę kolanem i mówiłem, że to jest pomyślane dobrze.

Zaciekawiony poszedłem więc na zapowiadane ognisko. Wieczór, las, Pilica. Dzień powszedni, ale ludzi ze trzysta. Szczególnie dużo młodzieży. 120 harcereczek kręci się wokół ciemnego jeszcze stosu drzewa i wśród różnolitej publiczności. Wreszcie bez zapowiedzi rozpala się jasny płomień. Zaczyna się...

1. Płonie ognisko i szumią knieje... Drużynowy opowiada starodawne dzieje... O czym? O różnych rzeczach. Między innymi o rycerzach z nad kresowych stannic itd.

2. Jakiś taniec.

3. Dialog dwóch wiejskich dziewczyn. Obydwie naturalnie w charakterze idiotek. Było tam i o Jantku, który miał na jedną z nich apetyt, o odpuście i psiukanej wodzie, pomarajdach i forteklapie.

3. Jakiś taniec

4. Legendy kujawskie. Gromada, udająca kilka, tym razem już regionalnych idiotek, słuchała pokrzykując od czasu do czasu w udanym przestrachu. Przez cały czas w tej gawędzie chłop oszukiwał diabła. Przy kartoflach zabrał owoce z ziemi a diabłu dał nać, wybronował diablimi pazurami ziemię, po „dochu" go gonił... Nie można powiedzieć — sprytny był sobie ten kujawski chłopowina. Teraz są bardziej tępi. Chyba żaden nie umiałby tak diabła wykpić... Część ludzi po tym numerze poszła do domu.

5. Śpiew kujawiaków.

6. Numer popisowy mniej więcej 10-letnich chłopców z miejscowej wsi przerobionych na ognisku w Indian z kogucimi piórami. Chłopaczki w obliczu swoich kolegów od bydła speszyli się pioruńsko i całą fantazję Indian diabli wzięli. Nic z tego nie wyszło. Może nie wiedzieli koto to „te Indiany". Związek harcerek z polskim ludem, jak widzimy, przez przygotowanie tego numeru jednak był.

7. Jakiś śpiew.

8. Dla odmiany dziewczynki z tej samej wsi tańczą pajacyka Niestety na drewnianych nóżkach i z wzorową sztywnością. Pytałem dyskretnie później jedną z nich, co robi zwykle w domu. Pasie krowy. Piłki nie ma. Gdy spytałem o lalkę i książeczkę — spojrzała na mnie nieufnie, a po pytaniu, czy widziała tańczącego pajacyka schowała się za swoją starszą siostrę.

9. Aktorzy z punktu 8. tańczą i śpiewają zajączka? Głos? — konsternacja i chrypka. Reszta, jak w punkcie 8.

10. Chłopcy spod punktu 6. inscenizują rycerzy. Tfu, tfu, na psa urok. Dobrze, że nic im z tego nie wychodzi. Po zakończeniu popisu śmieją się sami z siebie.

11. Jakiś śpiew.

12. Grupka harcerek śpiewa „Ucieszne bobo". Dwie tańczą. To jest dopiero klasa!

13. Na zakończenie śpiewają wspólnie „Jamboreo".

Tak praktycznie wyglądają kontakty „harcerskiej Służby Polsce" z chłopami. Czyja wina? Wracając do domu szukałem odpowiedzi na to pytanie. Przeszkodził mi w tym śpiew. To członkowie miejscowego koła Związku Młodzieży Polskiej „wyrównywali" swoje doznania artystyczne. Po mdłej pigułce harcerskiego ogniska ryknęli „Gdy naród do boju wystąpił z orężem"... A później słyszę hymn Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej.

Biedne, pomylone harcereczki. W głównym ośrodku całowojennej partyzantki próbują uwodzić chłopów rycerzykami, pajacykiem, zajączkiem i uciesznym bobo.

Duża robota czeka druchnę Dewitzową...

kp.

Litości

W sierpniowym numerze liberalnego tygodnika „The Manchester Guardian Weekly" zapoczątkowana została, według wypróbowanej w Anglii metody, akcja zmierzająca do uwolnienia od odpowiedzialności sądowej czołowych zbrodniarzy wojennych o znanych powszechnie nazwiskach jak Brauchitsch, Rundstedt i Mannstein. Wygląda to w ten sposób, że w dziale „Listy do redakcji" opublikowany zostaje list o wyzywającej treści, który równocześnie zwalnia redakcję od odpowiedzialności w wypadku gdyby okazło się, że struna został przeciągnięta. Oczywiście „list" taki z reguły powoduje napływ innych podobnych „listów" solidaryzujących się ze stanowiskiem autora, po czym redakcja może bez żadnych osłonek rozpocząć kampanię o rehabilitację niemieckich marszałków.

Znany z audycji BBC dla Niemiec Liddell Hart w swym liście ubolewa w pełnym obłudy i dyplomatycznych frazesów języku o pogwałceniu sprawiedliwości z powodu dalszego internowania trzech marszałków w Niemczech. Dla całkowitego przekonania angielskiej opinii publicznej o słuszności sprawy Liddel Hart publikuje fragmenty listu otrzymanego 11 sierpnia od feldmarszałka von Mannsteina. Treść owego listu obfituje w tak bezprzykładne momenty, że należy je choć fragmentarycznie udostępnić polskiemu czytelnikowi, aby przekonał się jak daleko posunęło się w Anglii wybielanie hitlerowców, jeśli można liczyć, że wywoła to porządane współczucie.

„W Norymberdze ulokowani zostaliśmy w wojskowym szpitalu. Pomieszczenia, jedzenie, oraz opieka lekarska były dobre. Niestety byliśmy dokładnie izolowani, z wyjątkiem wartownika **(Murzyna)** (podkr. moje), który znajdował się w pokoju każdego z nas. Jakkolwiek nigdy nie byłem zwolennikiem niemądrej teorii o „rasie panów", to metoda umieszczania murzyńskiego wartownika w czyimś pokoju, wydaje mi się być pozbawiona smaku"...

„Wyobrażasz chyba sobie, jak męczący musi być dla starego człowieka (!) całkowity brak samotności oraz to, że jest się eskortowanym przez wartownika do umywalni, do toalety... Tylko raz dziennie wolno nam spacerować nazewnątrz budynku w towarzystwie oficera. Żony nasze mogą nas odwiedzać, lecz też tylko w ciągu jednej godziny dziennie i to w obecności oficera. W pierwszym tygodniu wolno nam było spożywać razem posiłki w jadalni, lecz wczoraj komendant oświadczył, że otrzymał rozkaz z Dowództwa Armii, zakazujący nam widywać się i prowadzić rozmowy. Tak więc jesteśmy całkowicie osamotnieni — **po tym, gdy w Anglii zażywaliśmy prawie pełnej wolności** (podkr. moje)".

„Jeśli istnieją jakieś powody (a nie wiem jakie), które skłaniają władze brytyjskie do dalszego przetrzymywania nas pod kontrolą, sądzę, że znalazłyby się inne formy, niż to bezustanne więzienie. Ze względu na te warunki i ciągłą rozłąkę z naszymi rodzinami... dlaczegóżbyśmy nie mieli zostać wypuszczeni, albo zwolnieni na parole **d. honneur? (!)** (słowo honoru) (podkr. moje).

Tyle na ten raz. A dwie strony dalej w tymże samym tygodniku **w redakcyjnym** już artykuliku pt. „Trzech feldmarszałków" czytamy między innymi:

„Jeżeli są oni przestępcami wojennymi, to powinni byli być dawno postawieni przed sądem, **albo wcale nie** (podkr. moje). Nie mogą oni być traktowani jako niebezpieczni ludzie, ponieważ wszyscy oni są po sześćdziesiątce, a dwu cierpi na schorzenia".

Ciekawi nas czy „Głos Anglii" informujący „obiektywnie" rodzimą kołtunerię odważyłby się **na gruncie polskim** opublikować powyższy list. **Adam Leśniewski**

Co jest bardziej zrozumiałe dla dzieci

Dobrze się dzieje, że nowe programy historii już w szkołach podstawowych wprowadzają zagadnienia **historii gospodarczej i społecznej**, przez co dopiero odsłaniają się dzieje chłopa w Polsce. Ukazują one, że fundamentem złotych okresów Rzeczypospolitej był nie szlachcic, nie magnat, a właśnie chłop pracujący w pocie czoła i w poniżeniu na wielkość i chwałę warstw uprzywilejowanych. Bez jego cichej a nie docenionej pracy nie byłby możliwy rozwój kulturalny warstwy szlacheckiej. Historia w szkole podstawowej ukazując dziecku nie tylko dzieje królów wyższych warstw narodu w ich złych czy dobrych stronach, ale łącząc jednocześnie je z tłem społecznym i gospodarczym okresów historycznych, umożliwia dziecku już na tym poziomie rozumienie procesu dziejowego a tym samym przygotowuje do rozumienia zjawisk tak bogatego w przemiany życia współczesnego. Fakty historyczne ukazane nie tylko w kontekście kulturalno-politycznym ale i gospodarczo-społecznym pozwalają uczniowi na gruntowniejsze poznanie i zrozumienie samych faktów. I jakkolwiek tu i ówdzie odzywają się głosy wśród nauczycielstwa przeciw poruszaniu spraw gospodarczych i społecznych jako zbyt trudnych dla dziecka 11 czy 12-letniego to praktyka wykazuje, co innego. Właśnie **fakty natury gospodarczej są bliższe przeżyciom dziecka** i można uczyć o nich mniej werbalnie, niż o odległych faktach politycznych, ustrojowych, czy kulturalnych. Dziecko może nie uchwycić np. istoty polityki dynastycznej Jagiellonów, ale za to rozumie z łatwością zmianę w gospodarowaniu a w związku z zajęciami ludności równie łatwo rozumie podział społeczny, stanowy czy klasowy. Praktyka wykazuje całkowitą bezpodstawność tamtych zastrzeżeń. Natomiast poznanie poszczególnych form pracy w produkcji przemysłowej, poznanie możliwości i typów, techniki rolniczej i zależności spraw agrarnych od całokształtu życia gospodarczego, a zwłaszcza od produkcji przemysłowej, wdroży młodzież wiejską do szerokiego ujmowania spraw i problemów życia współczesnego. **Jan Marszałek**

KOMUNIKATY

Zjazd O. W. ZZLP został odłożony na koniec października lub pierwsze dnie listopada.

Na plenum Zarządu Głównego Z. S. Ch. (w dnia 19—20 b. m.) został powołany na Prezesa Związku Stefan Ignar.

Od pierwszych dni października „Wieś" (po okresie wakacyjnym) wychodzić będzie w terminach cotygodniowych.

W OSTATNIM NUMERZE 36—37 (165—166)

dnia 5—12 września 1948 r.

Józef Chałasiński — Intelektualiści w obronie pokoju, **Arne Rehahn** — Spojrzenie Niemca, **Maria Kowalska** — Aby żył „gatunek pisarzy", **Leonard Sobierajski** — Problem pacyfizmu, **Jan Aleksander Król** — Ostatnia klasa kapitalistyczna, **Sergiusz Narowczatow** — Ognisko, **Tadeusz Rokitniak** — Sprawy „kolorowych", **Tadeusz Orlewicz** — Austrialia — Indie — Afryka, Wiersze: **Alme Cesaire** — Koło, **Jan Carek** — Żołnierz nieznany, **Madelaine Riffand** — Rysunek na szkle, **Jan Follain** — Wigilia Kirasiera przed bitwą, **Anna Kamieńska** — List z Wrocławia, **Władysław Strzemiński** — Corbusier, **Anna Kamieńska** — Marksistowska historia nauki, **Paul Eluard** — Śpiący, Piastunka, Ubieralnia, **Lech Budrecki** — Współczesna literatura amerykańska, **Jerzy Tepicht** — Rozgrywka z agraryzmem jeszcze nie zakończona, **Tadeusz Chróścielewski** — Poziemiańska inteligencja rosyjska, **Leon Schiller** — Na temat tzw. „Teatru Ludowego", **Stefan Stodolny** — Współzawodnictwo w pracy, **Martin Anderson** — Nexö Powrót, **Paul Eluard** — O wolności, **Witold Warkałło** — Ubezpieczenie społeczne, **Kazimierz Podlasiak** — Wydawnictwa szkolne, **Anatol Tytułko** — Wytrwali, **Krzysztof Sławiński** — Nauka radziecka, Komunikaty, 38 ilustracji, 20 stron.

NASTĘPNY NUMER „WSI"

POŚWIĘCONY ZJAZDOWI HISTORYKÓW WE WROCŁAWIU,

przyniesie m. in. artykuły profesorów:

Arnolda, Assorodobraj, Dąbrowskiego, Gąsiorowskiej, Kiniewicza, Piwarskiego.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60 000.— zł; 1/2 kolumny 30 000.— zł; 1/4 kolumny 15 000.— zł; 1/8 kolumny 5 000.— zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133 Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł, kwartalnie 180.—zł, półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII-1080.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.
D—019036